№ 21. Warszawa, dnia 26 (14) Maja 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZNACZĄCE OSTRZEŻENIE.

Jest to aż psychologiczną zagadką, czemu polacy, którzy tak wcześnie rozwinęli u siebie życie polityczne, tak późno zdobywają główny jego nerw — trzeźwy rozum, ustawicznie czynny w kierunku samozachowawczym. Rozbierając ową politykę tam, gdzie ona się objawia — w Niemczech i Austryi — trzeba istotnie zdumiewać się, ile w niej działa pierwiastków złudzenia, idealizmu, porywów rycerskich i uczuć nieuświadomionych. Między innemi z przeszłości odziedziczono sympatyę do węgrów. Nic to nie znaczy, że owi węgrzy łupią ze skóry Galicyę ekonomicznie lichwiarskimi układami; nic to nie znaczy, że z dziką tyranią gnębią ludy słowiańskie najbliżej polakom pokrewne—ciągle „węgier-polak dwa bratanki." Daremnie fakty uderzają w to przysłowie i opartą na niem czulostkowość; daremnie doświadczenie przeciera oczy zaślepionym — węgier, barbarzyniec z rodu, barbarzyniec z instynktów, barbarzyniec z pragnień, pozostaje niezmiennie przyjacielem polaka, jego kamratem, sprzymierzeńcem, spólnikiem politycznym. Ostatnie zanurzenie ręki madziarskiej w ubogą kieszeń galicyjską, dla wydobycia z niej kilkunastu milionów podatku wódczanego, powinno było, zdaje się, poróżnić „bratanków;" gdzie tam— przedkarpacki zrobił żałosną minę, ale nie myśli wypowiadać przyjaźni zakarpackiemu.

W łonie wszakże innych ludów słowiańskich Austryi zaczyna się coraz mocniej rozbudzać odraza do węgrów, ciemiężących je z nielitościwą srogością. Wiadomo, co dla nich żywią chorwaci i słoweńcy; przewyższają ich jednak swą nienawiścią najstraszniej krzywdzeni słowacy. Biedny ten naród, pokonywany również madziarską maszyną wyborczą, nie ma swego przedstawiciela w sejmie peszteńskim, nie może więc nawet skarżyć się. O ile więc nie znajdzie przypadkowego obrońcy w wiedeńskiej Radzie państwa, cierpi niemy. Językiem tych jego cierpień i wogóle szkód ludów słowiańskich w jarzmie tureckiem stał się tam słoweniec Gregorec. Oto, co rzekł o rządach „bratanka."

„Historya opowiada, że turcy uprowadzali dzieci chrześciańskie dla zrobienia z nich muzułmanów i janczarów. Niedawno dowiedziałem się, że węgrzy uprowadzają dzieci biednych słowaków, umieszczają je w swych wioskach i madziaryzują. Według określoń art. 19 ustawy konstytucyjnej, każde plemię ma niezaprzeczone prawo pielęgnowania swej narodowości i języka — dwa pojęcia bardzo różne, gdyż narodowość obejmuje daleko więcej, niż język. Odnosi się ona rzeczywiście do pochodzenia i objawia w szczególnych znamionach kultury umysłowej, religijnej, społecznej, moralnej, artystycznej i naukowej; wszystkie zaś te objawy znajdują najlepszy wyraz w języku narodowym, ojczystym.

Słoweńcy Styryi i Karyntyi od panowania Maryi Teresy mieli jedynie szkoły niemieckie. Dopiero po latach stu szlachetny patryota, arcyb. Slomsko, wprowadził do nich język słoweński. Lecz dzięki samorządowi kraju i „Schulverein'owi" niemieckiemu, słowianie są dotąd germanizowani... Jeżeli niemcom wolno udawać się do Niemiec po pieniądze dla austryackiego „Schulverein'u," nie należy obwiniać włochów, że we Włoszech szukają pomocy dla swego „Union scolaire," rumunów—że udają się do Bukaresztu, a słowian, że odbywają pielgrzymki do Belgradu i Moskwy.

Słyszymy o wojnie z potężnem mocarstwem słowiańskiem: my nie życzymy sobie tej strasznej wojny, gdyż sądzimy, że ona wypadłaby jedynie na korzyść Anglii i Niemiec. Lecz jeżeli to nieszczęście przyjdzie, winienem oświadczyć, że los, jakiemu obecnie ulegają słowianie w Austro-Węgrzech, jest złem przygotowaniem do owego starcia."

Tego rodzaju pogróżki odzywają się w dziennikach i sejmach Austryi coraz częściej i coraz głośniej. Dotąd są to „próżne gniewy bez sił," ale jeżeli ta przewidywana i przepowiadana wojna wybuchnie, zanim stosunki germanów i madziarów do słowian zmienią się w duchu dla ostatnich przyjaznym, „próżne gniewy" zaważą na szalach tej walki bardzo ciężko. Austrya oparła się całą siłą o skałę przymierza niemieckiego i lekceważy sobie morze słowiańskie, które podmywa jej grunt pod nogami. Faktem jest niewątpliwym, że obecny rząd niemiecko-węgierski cieszy się uznaniem tylko własnych, w porównaniu z innymi żywiołami nielicznych współplemieńców. Czy on po ogłoszeniu wojny nie ujrzałby natychmiast w swym domu ognia wydobywającego się z rozmaitych stron — ani p. Taaffe, ani Tisza zaręczyć nie mogą. Kto wie nawet, czy nie lękają się takiego pożaru, a skutkiem tej obawy nie unikają starcia? W każdym razie jest to polityka krótkiego wzroku, o tyle wszakże dla pokrzywdzonych dobra, że przyspieszonym ruchem przybliża im chwilę sprawiedliwości. Słowianie austryaccy, w obecnym czy innym związku państwowym, muszą wkrótce otrzymać wyzwolenie i równouprawnienie zupełne, gdyż ręka germano - madziarów długo w spętaniu utrzymać się nie zdoła. Nie porozumiewając się, nie spiskując, nie buntując wytworzyli oni już dziś potęgę, drgnieniami swemi ostrzegającą tych, którzy ją lekceważą; potęga ta przy wybuchu wojennym stanie się dla swych ciemiężycieli zabójczą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Do woni wiosny domieszał się w tygodniu ubiegłym zapach wojny. Pogłoski rozsiewały go po wszystkich dziennikach, pieląc przytem troskliwie wiarę w długotrwały pokój. Wyrosły przytem i pewne fakty. Najważniejszym między nimi jest ucieczka plemienia salorów, zostającego pod władzą afgańską, na terytoryum ruskie i osiedlenie się w Saraksie. Tych przybyszów — według *Praw. Wiestn.* — ma być tylko 168 z 240 sztukami bydła, ale ponieważ przy przejściu granicy wywiązała się walka między nimi a ścigającą ich jazdą afgańską, gubernator Merwu zarządził śledztwo, któremu towarzyszy również stosowne działanie dyplomatyczne, wymierzone przeciw gubernatorowi Heratu. Jak wobec tego wypadku zachowa się Anglia, dotąd jeszcze nie wiemy; przewidywać jednak można, że poczuje drżenie w łydkach.

Skutkiem przeszkód, jakie stawiano na granicy jadącym do Francyi niemcom, *Nordd. Allg. Ztng* groziła odwetem, który jak huk po dymie już nastąpił. Z wyjątkiem gmin pogranicznych, wszyscy francuzi, przybywający do Alzacyi i Lotaryngii, winni posiadać paszporty, poświadczone przez konsulat niemiecki *w Paryżu*. Trzeba uprzytomnić sobie nawyknienie do swobody ruchów podróżniczych, ażeby zrozumieć, jak dalece ten rozkaz zaciąży nad ludnością francuską, zwłaszcza jeżeli ona na każdy przejazd będzie musiała wyjednywać sobie wizę w Paryżu.

I drugą, wschodnią stroną Niemcy wystąpiły groźnie: cło od zboża ruskiego ma być podniesione o 50%, gdyż przekonano się, że dotychczasowa opłata nie wystarcza interesom rolników niemieckich. Są to wszystko niewątpliwie roboty ks. Bismarka, gdyż cesarz, mimo względnej poprawy zdrowia, ma się źle i nawet przy obrzędzie zaślubin swego drugiego syna, Henryka, z ks. Ireną heską ledwie mógł być obecnym.

Deputowani francuscy, których Boulanger tak nielitościwie wypłazował swoim językiem, zabierają się poważnie do łącznej obrony. Zwołano szereg zgromadzeń dla obmyślenia środków przeciwko plebiscytowi ex-generała i ugaszenia wznieconych przez niego ogni. Jednocześnie naradzają się monarchiści rozmaitej barwy nad sposobami łowienia ryb w mętnej wodzie. Z Boulangerem żądają oni wspólnie rewizyi konstytucyi, spodziewając się na tej drodze zamachem obalić Rzeczpospolitę.

Z Czarnogóra wkroczyła zbrojna banda do Hercegowiny, którą odparto i rozproszono, między Turcyą a Grecyą stosunki naprężyły się do pęknięcia, na króla Milana, wracającego z Wiednia do Belgradu, czatowali, spiskowcy, słowem wszędzie trzęsienie ziemi politycznej.

Nawet katolicy irlandzcy wypowiedzieli małą wojenkę papieżowi za wtrącenie się w ich zatargi polityczne z Anglią. Na zebraniach i podobno w osobnem piśmie biskupów oświadczyli oni Leonowi XIII, że w rzeczach religii gotowi go zawsze słuchać i uznawać nieomylnym, ale w polityce proszą, ażeby on u nich zasięgał rady a w każdym razie pozostawił im swobodę działania. Jest to znaczące dla papieża ostrzeżenie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NĘDZA GALICYI.

II.

Jednem z następstw opanowania opinii publicznej przez warstwy nieprodukcyjne są fałszywe poglądy ekonomiczne. Należy do nich naprzód utyskiwanie na emigracyę ludu. Stanowi ona bowiem bardzo pocieszający objaw wytrwałej walki mazurów z losem. „Mają w domu z głodu zginąć — powiada autor — sto razy wolę, ażeby do Ameryki emigrowali. Niechaj setny powróci z jakim takim kapitalikiem, z doświadczeniem, to stanie się zarodkiem nowych myśli i wyobrażeń w zastałej masie naszej ludności wiejskiej... Przynajmniej połowa całej naszej młodzieży powinna szukać szczęścia za granicą, wyrabiać się we współzawodnictwie z cudzoziemcami i wracać z zasobem pieniędzy i doświadczenia do kraju.“

Drugim obłędem ekonomicznym jest skarga na brak ludności w Galicyi, która — jak czytelnikowi wiadomo — na ten niedostatek wcale nie cierpi; trzecim — wstręt do podatków, które również — jak poprzednio znaczyliśmy—są bezwzględnie bardzo małe, tylko w odniesieniu do produkcyi nędznej — wielkie. „Podnieśmy produkcyę— pisze p. Sz. — do stopy węgierskiej, t. j. o jakie 300 milionów rocznie, a mając 100 złr. dochodu na głowę, łatwiej nam będzie płacić 19 złr. podatku, jak węgrzy płacą.“ W tem twierdzeniu tkwi zasadnicza myśl jego wywodów, mianowicie, że należy podnieść wytwórczość ekonomiczną a jej siłami — podatki „nakładowe,“ obracane na korzyść kraju.

Czwartym obłędem jest tani kredyt. Autor twierdzi, że „należy ograniczyć, już i tak zanadto rozwinięty, kredyt *osobisty* na wydatki nieprodukcyjne, a jak najbardziej korzystać z kredytu *zbiorowego* na wydatki produkcyjne.“ Dalej krytykuje wpływ ceł ochronnych dla Galicyi i wykazuje możliwość rozwinięcia w niej z powodzeniem przemysłu bawełnianego. Następnie stara się dowieść, że socyalizm nie ma tam gruntu, bo nie ma do pokonania kapitalizmu potężnego. Niezmiernie ciekawym i bardzo pouczającym jest rozdział o antisemityzmie. Autor dokonał tu wiele ciekawych obliczeń i wyprowadził z nich wnioski druzgocące ekonomikę, opartą na plotkach, przesądach i nieznajomości rzeczy. W Galicyi nad podstawą ludową — powiada on — wznosi się klasa średnia z inteligencyą w mniejszej części chrześciańska, w większej — żydowska. Pominąwszy właścicieli ziemskich, karyera urzędnicza i służba publiczna stanowi więcej niż połowę całego zarobku warstwy średniej, podczas gdy u żydów pierwsze miejsce zajmuje handel, a po nim przemysł. Pod jednym względem biedniejsza ludność żydowska ma stanowczą przewagę nad zamożniejszą chrześciańską, mianowicie nietylko pracuje, ale oszczędza, a przewyżka tych oszczędności wynosi około 4 milionów. Fakt ten jest zastraszającym jedynie dlatego, że odbija się na tle „naszego bezgranicznego niedołęztwa.“ Gdyby nie to — mówi p. Sz. — „to bym uważał żydów galicyjskich nie za te prawzory przebiegłości i sprytu, za jakie ich zwyczajnie uważają, ale za bardzo mizerne wzory w prowadzeniu interesów.“ Ludność przemysłowo - handlowa, blizko 700 tysięczna, nie może zaoszczędzić więcej, niż 7 milionów rocznie — i to ma być dowodem sprytu? Jakże nazwać anglików lub francuzów, którzy oszczędzają po 100 złr. na głowę? „Losy ludności $5\frac{1}{2}$ milionowej, posiadającej całą rolę, mającej w ręku rządy krajowe, piastującej wszystkie urzędy i godności — mają być zagrożone dlatego, że żydzi rocznie oszczędzają 7 milionów! Jeżeli my z wszystkimi naszymi zasobami nie potrafimy im wyrównać i nieskończenie ich przewyższyć, to warto, że-

4)

JURGIS DURNIALIS.

(SIELANKA).

VII.

W przeddzień Zwiastowania bocian przemknął nad wioską i usiadł na lipie za cielętnikiem Wargialisa. Kilku chłopaków upewniało, że widzieli latające jaskółki, starsi żartowali z tego, dowodząc, że to były najzwyczajniejsze wróble; lecz gdy dziatwa, wytrzeszczając oczy, nie dawała zbić się z tropu — musiano jej przyznać słuszność i zgodzić się, że wiosna wstąpiła w swe prawa, tembardziej, że skowronki od samego rana głosiły trele na zabój.

Wiatr, który powstał ze wschodem słońca, włóczył się leniwie po polach, niby parobek, co nie poszedł w niedzielę do kościoła, a potem nie wie, co z sobą począć: spać mu się nie chce, zajęcia nie ma, więc ociężale suwa się z kąta w kąt. I wiatr tułał się bez celu, niby namyślając się, jaki ma obrać kierunek; to wionie z południa, to targnie z zachodu, to aż na wschód zakręci; czasem sunie żwawiej i dopadłszy strzechy, zacznie miętosić słomę; po chwili przyczai się — jakby zamarł. Tak było do południa; poczem całą szeroką swą piersią pomknął wzdłuż wioski — na zachód... i już ani razu nie zboczył, ani razu nie zachwiał się, tylko coraz się wzmagał, a śnieg pożerał tak łakomie, że do wieczora zostały zaledwie oddzielone płaty, które zdołały ukryć się za wzgórkami i koło budynków.

Gospodynie i dziewczęta cały dzień, bez wytchnienia, krzątały się po chatach, bo oprócz zwykłych zajęć, przed uroczystością znalazło się niemało i nadzwyczajnych; to też nim wyszorowano ławy i zydle, nim upieczono bocianie pierogi *) — dnia jakby nie było. Do późna wieczorem światełka, niby rząd gwiazdek, połyskiwały w małych okienkach chałup, aż po kolei jęły znikać. Najdłużej tlało łuczywo w krańcowej chacie Smilgasa — nareszcie i ono zgasło...

Nie zgasło... Oto w oknie warzywni połyska czerwonawy płomyk — zapewne od smolnego łuczywa... Miga, drży, lecz nie ginie; owszem coraz się wzmaga... chyba to nie łuczywo! Może w piecu palą?.. Nagle cała komora zajaśniała, jak kościół na roratach... płomień buchnął przez okienko i wgryzł się w strzechę. Wiatr porwał garść rozpalonej słomy i przerzucił na świren.

Po chwili cała wioska zaroiła się ludem. Zgiełk i krzyki trwogi rozbudziły Karusię; zerwała się i na pół nieprzytomna pobiegła na ogień.

Straszny był widok. Budynki Smilgasa, Pankstzisa, Wilejki, płonęły jak wiązki chrustu. Zabudowań Szyłejkisa i starosty ogień nie tknął jeszcze, lecz odryny ich choć stojące na uboczu, jakiemś dopuszczeniem już się zatliły. Iskry, jak grad ognisty, unosiły się z wiatrem nad całą wsią; od czasu do czasu kawał płonącej strzechy, niby *ajtawaras* *), ulatywał w górę i padał na przyległe budynki. Im bliżej podchodziła, tem większy strach ją zdejmował: zdało się jej, że widzi płomienie piekła, snujące się cienie szatanów, że słyszy dzikie wrzaski potępionych. Gdy doszła do końca, stanęła jak wryta. Bydlęta, odpędzane od ognia, lękając się otaczającej pomroki, z rykiem rzucały się napowrót i w płomieniach ginęły. Psy, tulając się u płotów, wyły, jak na pogrzebie. Ludzie

*) Bocianie pierogi pieką na Litwie w dzień Zwiastowania, używając mąki zmieszanej z rozmaitych gatunków zboża.

*) Ajtawaras — latawiec — chochlik błąkający się nocą w kształcie ognika.

byśmy do szczętu wyginęli. Gdybyśmy mieli do czynienia nie z naszymi żydami, ale z narodem rzeczywiście sprytnym, energicznym i zaborczym, gdyby obok nas lub pomiędzy nami znalazło się 700,000 szkotów lub yankesów, ludy wytężonej pracy i śmiałej przedsiębiorczości, dawno by już ci przybysze nas zjedli ze skórą i włosami. I zamiast szukać winy w naszem własnem niedołęztwie i lekkomyślności, mamy wyprzeć się poszanowania wszelkich praw ludzkich i boskich! Zamiast ewangelii słuszności, sprawiedliwości i pracy, mamy przyjąć ewangelię nienawiści rasowej, nietolerancyi religijnej i zdzierstwa legalnego, którą nam głoszą apostołowie obałamuceni zepsutą opinią publiczną kraju sąsiedniego? Ażeby się uchronić od wytężenia sił własnych ku uzyskaniu bagatelnej kwoty czterech milionów, czyli połowy tej sumy, którą corocznie w tytoniu i cygarach z dymem puszczamy, mamy poświęcić te zasady ludzkości i szlachetności, które instynktowo kierowały naszym narodem nawet w czasach mniej oświeconych, niż dzisiejsze! Żyjąc, z braku należytego wykształcenia ekonomicznego, w świecie ciągłych urojeń i strachów, zrobiliśmy tych żydów, których ciągle mamy przed naszemi oczami, kozłem ofiarnym wszystkich naszych niepowodzeń, naszego własnego niedołęztwa, a zaledwie przeczuwamy istnienie przyczyn upadku głębszych i trudniejszych do usunięcia.“

Wobec cyfr obawa niewoli naszego społeczeństwa u żydów zawsze przypomina autorowi obraz śpiącego Guliwera, spętanego przez liliputów.

Nadzwyczajnie trafną jest jego uwaga o współczesności i współrzędności ujemnych objawów we wszystkich żywiołach narodu. „Jak upadek nasz objawił się równocześnie na polu umysłowem, religijnem i społecznem, równocześnie ciemnotą, fanatyzmem i zepsuciem obyczajowem, tak też równocześnie odbił się na szlachcie i na mieszczaństwie, na żydach i chłopach. Jak ogniwa jednego łańcucha, tak szlachcic-utracyusz, mieszczanin-kołtun, chłop-tuman i żyd-pijawka trzymają się razem, są nierozerwalnymi rysami tego samego obrazu...“ Żyd — według p. Sz. — podobnie jak polak, do pracy produkcyjnej, rzeczywiście użytecznej, weźmie się tylko pod grozą śmierci głodowej, kiedy już wyczerpały się inne środki utrzymania, kiedy już „ani dowcipem, ani protekcyą, ani faworem nie można się dochrapać, ani dożebrać jakiegoś sposobu albo sposobiku życia kosztem pracy innych ludzi, a nie własnem wysileniem.“ Tak samo zaś, jak u nas każdy wygodny synekurzysta z góry spogląda na człowieka, pracującego w pocie czoła, tak każdy faktor żydowski uważa siebie za coś wyższego od żyda rzemieślnika lub robotnika.“

Głównemi wadami żydów są chciwość i wyzyskiwanie, głównemi wadami polaków — niedbalstwo, próżniactwo i lekkomyślność. Otóż autor mniema, że wady polskie są dla społeczeństwa ekonomicznie szkodliwsze. „Chciwość i wyzyskiwanie są wadami czynnemi, których można się ustrzedz, które można w karby ująć. Jak wąż grzechotnik już swojem grzechotaniem powołuje do ostrożności, tak i te wady zapowiadają się objawami, które dla bacznego są ostrzeżeniami i przestrogą. Ale niedbalstwo, próżniactwo i lekkomyślność są albo bierne, albo nieobrachowane; działają jak trunek odurzający, czyniący ludzi niepoczytalnymi i odrętwiałymi.“

Po tylu zarzutach i wyrzutach, sprostowaniach i wykazach, cóż— według p. Sz.— czynić należy? Przedewszystkiem doskonale i trzeźwo się poznać, głów jak strusie, w piasek nie wsadzać. Dalej — trzeba się moralnie odrodzić, gdyż „polak nie może się obejść bez idealnych sprężyn działania. Co dla członków innej narodowości jest tylko zbytkiem i wykwintnością, potrzebą rzadkich chwil podniesionej potęgi ducha, to dla nas jest ciągłą potrzebą, powinno być naszym chlebem codziennym.“ Powtóre należy oszczędzać.

W ostatnim rozdziale autor kreśli „program rozwoju ekonomicznego, w którym właściwie mówi o sprawach najrozmaitszych, powtarzając twierdzenia i wnioski poprzednio wyrażone.

Zapewne czytelnikowi rozwiązała się zagadka, czemu praca p. Szczepanowskiego, nie będąc ani opieprzoną broszurą, ani otłuszczoną powieścią, zrobiła głębokie wrażenie i szybko doczekała się drugiego wydania. Rzeczywiście, książka ta, napisana okropną polszczyzną i w treści swej poplątana często bezładem, jest strumieniem zimnej wody, albo raczej snopem promieni jaskrawego światła, rzuconym na tło życia Galicyi i rozlewającym swe blaski na jej przygłębłości.

Pierwszy z tych promieni widzimy w przesunięciu dążeń narodu z dziedziny politycznej na ekonomiczną i wogóle społeczną, w wykazaniu, że mnożenie bogactwa materyalnego i duchowego stanowić powinno główny cel usiłowań. Dalej znajdujemy gruntownie uzasadniony zarzut, że społeczeństwo naprzekór swoim interesom zwraca się przeważnie ku zajęciom nieprodukcyjnym, upatruje tam korzyść, gdzie odnosi stratę, a zaszczyt tam, gdzie odnosi hańbę; że ono nie posiada dostatecznej ilości ludzi majątkowo niezależnych, którzy by mogli wytwarzać opinię niepodległą, że biurokratyzm, marne zarobki na marnych szczeblach karyery pochłaniają i wyczerpują klasę ukształconą. Autor stawia drogowskaz, który mówi: albo pójdziecie tą drogą i zginiecie niechybnie, albo tą i żadne przeciwności was nie zniszczą. Prawie niepodobna mu nie wierzyć, tak świadczą za nim cyfry, i prawie niepodobna obronić się obawie, że z otchłani nędzy i bankructwa w obecnych warunkach i przy swych właściwościach istotnych, społeczeństwo dźwignąć się nie zdoła. Nosi ono klątwę fatalizmu nietylko za sobą, ale także w sobie.

Teorya ratunku p. Szczepanowskiego zamyka się w granicach Galicyi, ale tyloma odnóżami wychodzi po za nie i rozbiera sprawy całego plemienia, że nieraz jeszcze wrócimy do jej wywodów nie na gruncie jednej prowincyi. Nastręcza ona bowiem myśli publicznej dużo materyału i jako wykład zasad polityki wewnętrznej niema w literaturze naszej z ostatniego 25-lecia nic sobie równego. Gdyby książka ta wywołała wpływ praktyczny, byłaby epokową.

P. K.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 16 maja.

Najnowsze dzieje „Biblioteki polskiej“ i „Ogniska“ w Wiedniu. — Schönerer i jego agitacye. — Wystawa roślin i kwiatów. — Pomnik cesarzowej Maryi Teresy dłuta Zumbuscha. — Théâtre paré. — Lwowianka w operze wiedeńskiej. — Otwarcie jubileuszowej wystawy przemysłowej.

Istniejące w Wiedniu nie dłużej jak od roku stowarzyszenie „Biblioteki Polskiej“ stanęło odrazu w rzędzie najpoważniejszych towarzystw polskich za granicą. Zachowując sobie przedstawienie stosunków i dotychczasowych działań tej instytucyi do in-

---

bezmyślnie tłoczyli się pomiędzy bydłem, krzyczeli, zawodzili... nikt nie ratował. Czasem ktoś porywał wiaderko, pędził do sadzawki i zaczerpnąwszy wody, lał do płonącego stosu, lecz widząc, jak marnie ginęła — wykrzywiał twarz, wytrzeszczał oczy i stał przerażony. Kobiety, jęcząc jak puszczyki, w tłumie bydląt i ludzi szukały swych dzieci. Stary Wilejko z synem i parobkiem zaczepili hakiem ścianę płonącego świrna i ciągnęli z całej siły, chcąc ją rozwalić, lecz daremne były usiłowania. Karusia podbiegła ku nim i także porwała za drąg, lecz widząc, że nic nie pomaga, pomyślała: żeby to jeszcze Jurgis...

Jurgis! — zapomniała go obudzić... a cóż ona bez niego... Pędem pobiegła do domu. Wpadłszy do komory wrzasnęła:

— Jurgis, pożar! Cała wioska w ogniu!

— Pożar? — mruknął, siadając; przetarł oczy, wzuł buty, odszukał czapkę, siermięgę i wyszedł na dwór.

Popatrzył chwilę, wziął z *powiałki* hak i zawahał się w stronę pożaru, jak trzcina na wietrze. Karusia ledwie za nim zdążyć mogła.

Tymczasem tłum coraz się powiększał: z poblizkich wiosek przybiegli parobczaki i chętnie rzucili się do pomocy, lecz cóż mogli poradzić? Żar piekielny nie dawał zbliżyć się do budynków, a jęk kobiet i ryk bydła odbierał przytomność. Opuścili ręce i patrzyli przerażonym wzrokiem, jak szeroka rzeka płomieni wciąż posuwa się naprzód: już zalała wszystkie budynki Szyłejkisa, lada chwila i świren starosty pochłonie—potem chatę, chlewy... zabudowania Paskujtinisa —i tak dalej, dalej... Z całej wioski i śladu nie zostanie.

VIII.

W tem rozległ się głos, co zagórował po nad wrzaski tłumu i trzask spadających krokwi:

— Brolej, ejkiet cienoj! *).

Okrzyk ten zabrzmiał w każdem uchu, wszyscy go wyróżnili i zwrócili oczy w stronę, skąd pochodził; bo też wśród lamentu i jęków, silna, spokojna nuta dziwną tchnęła otuchą. Spojrzeli — i własnym oczom nie chcieli wierzyć — co to znaczy? Niby Jurgis, lecz jakiś ogromny, potężny; oczy patrzą wprost na ludzi, a cała twarz taka jakaś dziwna, aż strach bierze. Stał na płocie i wołał:

— Tutaj, tutaj chodźcie!

Ruszyli gromadą.

— Rozdzielcie się! — zawołał i dwakroć machnął ręką, jakby rozcinając tłum na części. Zrozumieli go i utworzyli trzy gromady.

— Dziewczęta, nosić wodę!

Wysunęły się z tłumu i wziąwszy od parobków wiadra, pobiegły.

— Wy — na budynki starosty, zalewać padające iskry.

— Wy — rzekł zwracając się do drugich — zbierzcie bydło i wypędźcie za wioskę!

— Reszta za mną! Rozwalimy chatę Szyłejki.

Wszyscy raźnie rzucili się do pracy, bo poczuli, że choć ogień silny, człowiek może z nim walczyć. Jęczeli i szamotali się tylko ci, co już stracili dobytek.

Jurgis na czele gromady sunął się ku ognistym falom: w tejże chwili gwałtowny płomień objął strzechę na świrnie starosty. Parobczaki stropili się i stanęli. Jurgis zwrócił się, podszedł do świrna, wysadził drzwi i wpadł do wnętrza. Za każdym ruchem wyrzucał skrzynie, szafy, worki z mąką, kożuchy, płótno...

— Nieście za płoty, na wygon!

Chłopcy rzucili się do roboty. Nim ogień przegryzł strzechę, zostało tylko zboże w zasiekach — Jurgis wyszedł.

*) Bracia, chodźcie tu.

nego listu, na dziś z obowiązku korespondenta powinienem wam donieść o najnowszych dziejach „Biblioteki.“ Zajmowała ona dotychczas niewielki pokój w hotelu Müllera na Grabenie, obecnie przeniosła się na Dorotheengasse (nr. 5), gdzie w obszernej sali urządzono czytelnię pism, umieszczając bibliotekę w gabinecie przyległym. Dwa przedpokoje służą za garderobę, a w sali głównej, ozdobionej gustownie portretami i pamiątkami historycznemi, odbywają się zarazem odczyty i zebrania towarzyskie, których urządzanie wchodzi w zakres towarzystwa, liczącego w gronie swem najpoważniejszych przedstawicieli kolonii polskiej w Wiedniu. Pod przewodnictwem ks. Jerzego Czartoryskiego „Biblioteka“ rozwija się wcale pokaźnie, a głównie niezmordowanej zapobiegliwości prof. Nowińskiego zawdzięczać należy, że mimo nastania pory letniej, Towarzystwo funkcyonuje ciągle wzorowo. Odczyt pierwszy w nowym lokalu poruczono p. Sucheckiemu, synowi zmarłego profesora lingwistyki na uniwersytecie krakowskim. P. Suchecki czytał o systemach stenografii polskiej, na tle ogólnych dziejów tej umiejętności. Żyjąc od długiego czasu w Wiedniu, zajął pomiędzy stenografami tutejszymi poważne stanowisko; ogłosił też parę broszur krytycznych o tym przedmiocie w języku niemieckim. Zajmującą częścią wykładu była historya i krytyka sposobów stenografii polskiej, które rozwijały się zwolna, opierając się o współczesne systemy stenografii zagranicznej. P. Suchecki nie jest za całkowitem zastosowaniem systemu Gabelsbergera do języka polskiego, gdyż stąd wypada bardzo złożony. Natomiast rozwinął system własny, który zaleca się zdumiewającą drobną ilością znaków i oświadczył gotowość otwarcia bezpłatnego kursu stenografii polskiej według swego pomysłu (p. Suchecki jest inżenierem tutejszej kolei Północnej).

W „Ognisku“ wystąpił z odczytem dr. Aleksander Raciborski, docent ze Lwowa. Znacie zapewne nazwisko autora książki o Millu, z powodu której przeprowadził polemikę z p. Władysławem Kozłowskim. Niedawno, mimo iż nie należy już do najmłodszych, przerzucił się na pole inne i habilitował się na Politechnice lwowskiej z historyi sztuki. W „Ognisku“ czytał o stylach w budownictwie, objaśniając głównie architekturę nowych gmachów pomnikowych w Wiedniu.

Wiedeń, przepełniony dziś wrzawą wystawową i jubileuszową, która daleko roznosić ma wieść o sile i jedności Austryi, staje się widowiskiem objawów dziwnie sprzecznych pod hasłem: „viribus unitis.“ Właśnie w chwili, kiedy uroczystości, poświęcone pamięci cesarzowej Maryi Teresy, oraz jubileuszowi czterdziestoletniego panowania cesarza Franciszka Józefa I, w pełnym są toku, pangermańskie agitacye Schönerera, używające antisemityzmu jako klapy wentylacyjnej, doszły do rozmiarów gorszących. Sprawa ta poczęła się jeszcze w dzień śmierci cesarza Fryderyka Wilhelma, kiedy Schönerer w knajpie „partyjnej“ zawołał: umarł *nasz* cesarz! Ponieważ wiadomość o śmierci monarchy niemieckiego najpierw została odwołaną, a w parę godzin znów potwierdzoną, Schönerer, oburzony tem postępowaniem prasy, której przypisywał winę chwiejności doniesień, wpadł na czele towarzyszów swych do redakcyi *N. Tayblatu*, gdzie z obelg przyszło do bójki krwawej. Sprawa, przeniesiona przed kratki sądowe, dała powód do procesu głośnego, w którym z jednej strony Schönerer walczył przeciw prasie wiedeńsko-żydowskiej, z drugiej rząd — przeciw „wielko-niemieckiej“ propagandzie Schönerera. Skazano go na 4 miesiące ciężkiego więzienia, nie tyle dla uchronienia żydów przed ponownymi napadami, ile dla ukarania tendencyj, tchnących zdradą stanu. Tłumy antisemitów urządziły jednak Schönererowi szumną owacyę. W wigilię odsłonięcia pomnika Maryi Teresy zgromadziły się znowu pod oknami jego, rzekomo dla wyrażenia współczucia żonie. Stamtąd jednak udały się w pobliże pomnika i zatrzymując masą swą powóz przejeżdżającego właśnie następcy tronu, odśpiewały narodowo-niemiecką pieśń „Wacht am Rhein.“ W dalszym pochodzie zaczęto wydawać głośne okrzyki: „precz z żydami!“ — projektowany jednak napad na redakcyę *Tagblatu* nie przyszedł do skutku, gdyż, jak się dowiedziano, dom redakcyi obsadzony był policyą. Podobne zbiegowiska odbyły się i w dniach następnych, a najnowszy skandal urządzili antisemici podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej prokuratora generalnego Glazera w uniwersytecie: ponieważ Glazer, jeden z pierwszych prawników współczesnych, był pochodzenia żydowskiego, grupa studentów nienawistnych żydom po przemowie rektora Vogla oddaliła się demonstracyjnie.

Opisuję obszerniej nieco zajścia te, gdyż charakteryzują one wewnętrzne rozprzężenie ustroju państwowego, który używając coraz nowych milionów dla poniesienia siły swej militarnej, w samem jądrze zaczyna ulegać potężnemu ciążeniu grup narodowych, leżących po za jego granicami. Stanowisko Schönererowców staje się zrozumiałem, jeśli uwzględnimy, że hasło „deutsch-österreichisch“ w Wiedniu utożsamiają powszechnie ze stronnictwem kapitalistów i dziennikarzów żydowskich. Istotnie bowiem żydzi, wyparci przez pangermanów ze wszystkich instytucyj publicznych i towarzystw niemieckich, pozakładali rozmaite stowarzyszenia, zwące się „deutsch-österreichisch,“ a liczące w składzie swym samych tylko żydów, którzy też reprezentują prasę patryotyczno - austryacką. Stąd zjawisko, że z drugiej strony hasło pangermanizmu utożsamiają z antysemityzmem i że, jak zwykle — *plectuntur achivi.*

Podczas gdy dla trzeźwego obserwatora stosunków austryackich, a zwłaszcza wiedeńskich, objawy powyższe głęboką mają doniosłość, lekkomyślny Wiedeń bawi się i stroi coraz to innemi wystawami, które pochłaniają uwagę ogółu. Obojętność i bierność podobna, jaką Galicya okazywała wobec wystawy krakowskiej, nigdy tu nie ma miejsca. Szczególne obudziła zajęcie jubileuszowa wystawa roślin i kwiatów w salach Towarzystwa ogrodniczego. Można tam było istotnie widzieć rzeczy zajmujące. Oprócz wspaniałych roślin egzotycznych z ogrodów cesarskich, z cieplarń ks. Schwarzenberga i bar. Rothschilda, znajdował się zbiór kwitnących roślin, zebranych i zaszczepionych przez ks. Ferdynanda Koburga, kiedy, nie marząc jeszcze o tronie bulgarskim, używał arkadyjskiego wczasu. Co ciekawsze, sam on postarał się obecnie o to, ażeby owoce jego studyów ogrodniczych okazale przedstawiły się na wystawie wiedeńskiej, gdzie zajmują uroczą wysepkę. Znawców zajęła też rzadka roślina, nadesłana przez prof. Dybowskiego ze Lwowa. Najbardziej zaś zainteresowała publiczność wystawa bukietów i kwiatów.

Uroczystości urzędowe rozpoczęły się w niedzielę (13 b. m.) odsłonięciem pomnika cesarzowej Maryi Teresy. Pomnik ten wyszedł z pracowni prof. Zumbuscha. Po wykonaniu modelu, samo odlewanie zajęło dziesięć lat czasu; przeniesienie go i ustawienie — lat cztery. Na podstawie, zajmującej 640 m. kw., tj. przeszło czwartą część wielkiego placu św. Marka w Wenecyi, wznosi się pomnik ten do wysokości 15 m. Koszta jego wynosiły 850,000 zlr. Architektoniczne części wzniesiono z granitu i syenitu, figury zaś bez wyjątku lane są z bronzu.

W tej chwili przybiegł starosta i bełkocząc niezrozumiale, wpychał mu klucz do ręki.

— Od czego?

— Od świrna — rzekł, krzywiąc twarz— ledwo znalazłem... Jurgis mruknął: at!.. i usunął go na stronę.

Teraz chata Wargialisa stała najbliżej ognia: na nią padały iskry i płonąca słoma. Dwakroć strzecha tleć zaczynała, lecz parobcy zalali ogień. Naraz wiatr zakręcił wściekłej, oderwał od śpichrza kawał płomienia i rzucił go ponad chatę. Ognisty język liznął jednego z parobków po twarzy; chłopak jęknął przeraźliwie i potoczył się w dół — inni poczęli uciekać.

— Chata się zapali! — rozległ się przy Jurgisie głos rozpaczliwy.

Spojrzał, u płota stała Alina i drżącą ręką wskazywała zagrożony budynek.

Jurgis machnął ręką i sunął się na drabinę. W kilku miejscach iskry usiłowały wpić się w rozgrzaną słomę.

— Biernialej! *)—krzyknął takim głosem, że uciekający drgnęli — chodźcie tu, pokrywajcie strzechę odzieżą i lejcie wodę!

Zawrócili i szepcąc: Piktas!.. rzucili się znowu do roboty: zdejmując z siebie siermięgi, układali je w najbardziej zagrożonych miejscach i leli wodę. Jeden z chłopaków porwał kilka nowych kożuchów, wyratowanych ze świrna Szyłejki, by je wrzucić na strzechę; lecz Szyłejkowa z dzikim krzykiem uczepiła się prawie jedynego, co jej pozostał mienia.

— Szyłejkowa puść! — wrzasnął Jurgis, jak wściekły.

Kobieta zadrżała, krzyknęła: Piktas! i wypuściła z rąk swe dobro.

Tymczasem na płonący świren lano wodę strumieniami. Napróżno!.. Zdawało się, że budynek stał się gniazdem ognistych wężów: za każdem wiadrem wody rozlegał się wściekły syk, zwijały się kłęby potworów, a ich długie szyje, wysuwające się z gniazda, miotały się to na parobków, to na chatę. Palące żądła coraz uporczywiej lizały strzechę— lada chwila płomień i tam wybuchnie..: Jedyna nadzieja — Jurgis na chacie; nie ten durnialis, lecz silny, straszny Piktas, który, gdy każe parobczakom leźć w ogień—polezą: oczy wszystkich skierowały się na strzechę, śledziły najmniejszy ruch Jurgisa — czy dostoi? Za każdym rzęsistszym gradem ognia wyrywały się krzyki trwogi. Czasem któryś z chłopaków jęknął, gdy iskry twarz opaliły, któryś zachwiał się i stoczył na dół; kilka razy zabierano się do ucieczki... lecz na nich patrzył szaremi, świdrującemi oczami Piktas — musieli trwać. W tem, strzecha płonącego świrna, runęła do wnętrza. Z płomienia podniosła się kurzawa iskier i przeniesiona wiatrem na chatę, osypała parobków zamiecią ognia. Z krzykiem przerażenia i bólu rzucili się na ziemię. Pasmo płonącej słomy upadło na głowę Jurgisa—włosy buchnęły płomieniem. Po całym dworze rozległ się krzyk: Jurgis się pali! W chórze głosów dwa jękły boleśniej — Karusi i Aliny: jedna zadrżała o brata, druga... o chatę zapewne. Jurgis nie miał czasu o tem rozmyślać: lewą ręką zakrył oczy, prawą pociągnął po włosach i zdusił ogień. Gdy podniósł głowę i nie zoczył na strzesze nikogo, ryknął jak żubr:

— Chłopcy!

I znowu na tlejące już sukmany polała się woda.

* * *

Świren, obalony, coraz mniej wyrzucał ognia: na bierwiona i słomę lano wodę bez przerwy. Chata starosty i pozostała część wioski ocalały: rzeka była zatamowaną.

(D. n.)

Brolis.

*) Chłopcy.

Pomnik ten świat artystyczny uważał za dzieło, mające niepoślednie zająć miejsce w historyi sztuki wszechnarodów. Zumbusch sam, jak wiadomo, jeden z pierwszych mistrzów niemieckich, pobiwszy w konkursie kolegów swych, Kundmanna i Benka, dziełu temu poświęcił szereg lat, nie przyjmując znacznych i zaszczytnych ofert, jakie z innych stron czyniono mu w tym okresie. Doradcą jego, zwłaszcza co do części architektonicznych, był najpierw Semper, genialny projektodawca całego planu wielkiej grupy gmachów, zdobiących dziś Wiedeń, po jego śmierci Hasenauer, który według planów Sempera wzniósł budowle muzealne i nowy teatr (Burg), sam zaś zaprojektował nowy pałac cesarski. Plan pomnika Maryi Teresy przechodził w umyśle artysty przez różne stadya, jak to zwykło bywa przy dziełach podobnych rozmiarów, a co w tym wypadku jest tem zrozumialszem, że najtrudniejsze to pono dla rzeźbiarza zadanie—osiągnąć efekt grupą postaci nie symbolicznych, nagich, ale przyodzianych od stóp do głowy w szaty pewnej epoki. Pomnik Maryi Teresy, to nietylko jej własny portret, ale niejako historya państwa i czasów jej, przelana w bronz. Postument czworościenny, o wklęsłych bokach, z czterech złożony stopni: na rogach wyskakujących a zaokrąglonych widzimy czterech jeźdźców: marszałków Laudona, Dauna, Trauna i Kherenhüllera. Pośrodku wznosi się budowa czworoboczna, ozdobiona kolumnami, w czterech niszach mieszcząca wielką ilość postaci. Przed niszami ustawił artysta postacie czterech jeszcze wybitnych doradców Maryi Teresy: widzimy Kaunitza, Bismarka XVIII stulecia, po którego zasuszonych licach prześlizguje się uśmiech satyryczny; ks. Liechtensteina, reformatora artyleryi austryackiej; von Swietena, twórcy szpitalów, wreszcie hrabiego Haugwitza, owego „nieprzyjaciela szlachty,“ na której barki zwalił liczne ciężary, dawniej gniotące niższe tylko warstwy, a o którym cesarzowa Marya Teresa wyrzekła była, iż jest „uczciwym, bez zamiarów ubocznych, bez ambicyi, bez zwolenników, popierającym co dobre tylko dlatego, że jest dobrem.“

W niszach wreszcie występują Bartenstein, Starhemberg, Mercy, Lazy, Hadik, Nadasdy, Ekhel, Bray, Grassalkonich, Brückenthal, Rieger, Martini, Gluck, Haydn, Mozart i Sonnenfels, któremu zawdzięczać należy zniesienie tortury w Austryi i który zreformował nadworny teatr wiedeński. Cała ta budowa, zdobna tyloma rzeźbami, podtrzymuje drugi postument, smuklejszy i lżejszy, wyposażony czterema tylko postaciami wyobrażającemi: siłę, sprawiedliwość, dobroć i mądrość.

Na tym postumencie dopiero wzniósł Zumbuch cesarzowę w postawie siedzącej; prawa ręka wzniesiona ruchem wskazującym, lewa spoczywa na zwoju, wyobrażającym sankcyę pragmatyczną.

Całość ujęta jest bezprzecznie w prawidła kompozycyi monumentalnej, nie grzeszy ani przewagą martwych mas architektonicznych, ani znów nie rozprasza się w zbyt liczne efekty rzeźbowe. I zapewne nie artysty będzie to winą, jeżeli mimo wzorowej kompozycyi pomnik ten, a zwłaszcza postać samej cesarzowej, czyni wrażenie ociężałe, trochę niezgrabne, słowem niezgodne z wymaganiami oka wykształconego na wzorach klasycznych. Kostyum owej epoki oszpeca postacie ludzkie, zacierając proporcye, a ostatecznie właśnie na postaciach ludzkich oko głównie tu spocząć musi.

W dzień odsłonięcia pomnika w operze nadwornej było przedstawienie galowe, którego koszta (34.000 złr.) poniósł cesarz ze szkatuły własnej. Głównym punktem programu była sielanka Glucka, w którym na pierwszym planie wystąpiła śpiewaczka p. Lola Beet, lwowianka. Przebywszy przez lat parę w operze berlińskiej, obecnie zaangażowaną została do Wiednia, gdzie niezwykłem cieszy się powodzeniem.

Nazajutrz po uroczystościach, poświęconych pamięci Maryi Teresy, nastąpiło uroczyste otwarcie jubileuszowej wystawy przemysłowej, najdonioślejszego dzieła, dokonanego ku upamiętnieniu czterdziestoletniej rocznicy panowania obecnego cesarza. Wystawa ta trwać będzie przez sześć miesięcy; obudziła ona żywe zajęcie w państwach ościennych, skąd wielu przybywa pragnących zwiedzić ją, a dla Galicyi, stojącej u początku rozkwitu swego przemysłowego, bodaj czy nie największej jest wagi. Obraz wystawy tej postaram się naszkicować wam w liście następnym.

A. Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

DZIWY PSYCHOLOGICZNE.

Nauki przyrodnicze, astronomia, fizyka i chemia, wyświetlając tysiące ciekawych faktów, spostrzeganych przez nas w naturze, zdarły zarazem z nich maskę tajemniczości, określiły prawa, rządzące tymi faktami, stworzyły wnioski, pozwalające z góry oznaczać pewne skutki danych przyczyn, słowem, na miejsce zagadek, czarów i dziwów — postawiły naukę pozytywną. Wogóle dziwnem wydaje się nam to jedynie, czego nie pojmujemy, gdzie spostrzegamy objaw, nie widząc jego przyczyny. Kiedyś sztuki magików, t. z. wówczas czarnoksiężników, wywoływały podziw, a tłumy, nierozumiejące łączności pomiędzy skutkiem a nieznaną przyczyną, wierzyły w siłę nadprzyrodzoną czarodzieja, który dzisiaj zaimponować może chyba tylko ciemnej gawiedzi. Astrologia, astrochemia, kabała, proroctwo halucynacye, niedawno tak modny spirytyzm i tumaniący umysły dzisiejszy hypnotyzm — toż to wszystko dziwy, czary, które dopóty utrzymują się na tem stanowisku tajemniczem, wyzyskiwanem przez fanatyków i szarlatanów, dopóki skalpel dociekającej nauki nie zbada ukrytej prawdy i nie odsłoni jej przed oczami tłumów, które wtedy odrazu zrzekną się swej przesądnej wiary. Nie wierzymy już czarom w sferze nauk przyrodniczych; zdarzają się tam tylko zagadki chwilowo niedocieczone, ponętne zatem dla badaczów, którzy natężając swój umysł, powoli, lecz skutecznie rozstrzygają je, a podając fakty naukowo zamiast tajemniczych wierzeń, posuwają naukę coraz dalej po drodze do odkrycia wszelkich praw, rządzących przyrodą. Precz z przesądami i wiarą w dziwy — to hasło stulecia naszego. Dziwnem nazywamy to tylko, czego w danej chwili nie rozumiemy; jest to materyał spostrzegawczy, działający na naszą wyobraźnię, dopóki ukryta przyczyna nie stanie się jasną, zrozumiałą. W tem też znaczeniu pojmujemy gromadzące się z dniem każdym dziwy psychologiczne, w sferze własnego naszego umysłu powstające, a niedocieczone dotychczas dlatego jedynie, że fizyologia mózgu jest nauką początkującą zaledwie.

Zasadniczą podstawą duszy każdego człowieka jest poczucie własnej osobistości, wypływające, wodle określenia Ribota, z ustroju naszego organizmu, z jego skłonności, uczuć wyrażających je i z pamięci. W dziedzinie tego poczucia zachodzą jednak poważne zmiany, które w zupełności zasługują na nazwę — dziwów psychologicznych, gdyż dotychczas nie zostały wyświetlone. Są to t. z. zmiany osobistości, a odróżniamy ich trzy rodzaje: pierwszy nazwiemy *przemianą* osobistości, gdyż człowiek przemienia się w innego, zapomina całego swego poprzedniego życia lub zapatruje się na nie, jak na coś obcego, nienależącego doń. Drugi rodzaj *podstawienia* osobistości obejmuje te zmiany, wśród których chory ma się za całkiem innego człowieka; tego rodzaju przykłady spotykamy śród hypnotyzowanych, którym wmawia się, że nie są tem, czem byli, lecz że są królami, papieżami, czworonożnemi zwierzętami itp. Poddana myśl opanowywa ich umysł, a całe zachowanie się osobnika odpowiada tej główwej, wmówionej idei. Trzeciego rodzaju objawy nazwiemy rzeczywistemi *zmianami osobistości*, gdyż w tych wypadkach osobnik od czasu do czasu zmienia się, okresy te powtarzają się, świadomość i pamięć zastosowują się do oddzielnych przemian. O tym trzecim rodzaju mamy właśnie zamiar pomówić obszerniej; udało się bowiem dwom badaczom francuskim, profesorom z Rochefort, H. Bourru i P. Burot, doświadczalnie wywoływać owe przemiany i to zapomocą czynników fizycznych, jak magnesów i metali, działających na organizm pewnego, bardzo nerwowego osobnika. Doświadczenia te przekonywają o bezpośredniej łączności, a nawet zależności tak zwanej duszy od bodźców czysto fizycznych, służą zatem za dowód, że psychologia jest tylko cząstką fizyologii. Spostrzeżenia swe wzmiankowani autorzy ogłosili w obszernej, świeżo wydanej w Paryżu książce p. t. *Variations de la personalité.* Dokonane one zostały na osobniku 22-letnim, Ludwiku V., znanym histeryku, który wielokrotnie był już przedmiotem obserwacyi słynych psychologów, Ribota, Legrand de Saulle'a; Richeta i Voisina. Ciekawą historyę tego człowieka opowiemy w kilku słowach.

Urodził się w Paryżu 1863 r. z matki histeryczki i z nieznanego ojca. Matka źle się obchodziła z nim, przeto już w dzieciństwie został włóczęgą. W ósmym roku życia za kradzież domową skazany na pobyt w domu poprawy aż do 18-go roku, przebywał przeto w osadach rolnych poprawczych, z początku w Danaires, a potem od roku 1873 do 1880 w Saint-Urbain. W tej to miejscowości, przestraszywszy się żmii, która owinęła się około jego ramienia, lecz nie ukąsiła go, doznał silnych napadów konwulsyjnych, poczem powstał paraliż dolnych kończyn, niepozwalający mu chodzić przez całe trzy lata. Inteligencya chłopca nie ucierpiała wcale z tego powodu. W 1880 r. został przeniesionym do przytułku w Bonneval. Tutaj nauczył się szyć, pracował chętnie, odznaczał się gorliwością i uprzejmością. Pewnego dnia dostaje napadu histerycznego, który trwa blisko godzinę, a po ataku paraliż nóg zupełnie ustępuje. Chory dobrze chodzi i prosi o pozwolenie pójścia w pole do zwykłej roboty. Z rozmowy poznają jego towarzysze, że zapomniał o tem, co się obecnie z nim dzieje, lecz przypuszcza, że jeszcze przebywa w Saint-Urbain. Nie poznaje nikogo ze swego otoczenia, nie wie, jakim sposobem dostał się tutaj, nie pamięta żadnego paraliżu, ani żadnych ataków konwulsyjnych, lecz przypomina sobie, że odesłano go do Saint-Urbain i że zląkł się tam żmii; co się stało od tego czasu do chwili obecnej, o tem nie ma wyobrażenia, w pamięci jego powstała szczerba; nie wie nawet, ile czasu upłynęło od owej epoki. Nawet charakter jego zupełnie zmienił się; nie jest to już ów spokojny, pracowity i posłuszny chłopiec, lecz stał się kłótliwym, łakomym, niegrzecznym i hardym. Dawniej nie pijał wina, oddawał swoją porcyę towarzyszom, a dzisiaj kradnie je innym. Bonneval opuścił pacyent w czerwcu 1881 r., pozornie uzdrowiony; następnie przebywał w Chartres u matki swej, potem u pewnego właściciela ziemskiego w okolicach Maçon, przez miesiąc leżał chory w szpitalu, potem został odesłany do przytułku w Saint-Georges, we wrześniu 1881 r. Do kwietnia 1883 r. pozostaje tam, następnie, nie wiadomo jakim sposobem, zjawia się w Paryżu, leczą

go w rozmaitych szpitalach, a nareszcie w Bicêtre, szpitalu dla obłąkanych. W ciągu 1884 r. znowu podlegał atakom, po których powstawały paraliże to obu dolnych kończyn, to całej prawej połowy ciała. Jednocześnie zmieniała się pamięć, a także charakter pacyenta w podobny do powyższego sposób. W 1885 r. wstąpił do marynarki, przebywał w Rochefort w koszarach, kradł tutaj, za co został stawiony przed sądem wojennym, który uznał go za niepoczytalnego i przesłał do szpitala miejscowego na obserwacyę. Tutaj właśnie autorzy ciekawej książki mieli sposobność dokładnie poznać tego człowieka i wyzyskać go w celach naukowych.

W chwili przybycia do szpitala był sparaliżowanym na całej prawej połowie ciała; czucie i ruchy znikły po tej stronie zupełnie. Charakter ma bardzo żywy, drażliwy, zuchwały. Mówi wiele, *tyka* wszystkich, wymyśla przezwiska dla każdego z otoczenia, pali tytoń przez cały dzień, wygłasza myśli swobodne, anti-religijne i ultra-radykalne w polityce, kłamie dużo, usprawiedliwia swe kradzieże socyalistycznemi pojęciami o własności. Doskonale pamięta wszystko to, co zachodzi obecnie wkoło niego, z przeszłości zaś — tylko pobyt swój w Rochefort, w Bicêtre i drugą połowę pobytu w Bonneval. O wszystkiem innem zapomniał, nie pamięta, jakim sposobem dostał się do Bonneval. Jak z Bonneval przybył do Bicêtre, co się działo między pobytem w jednej a drugiej miejscowości, tego również wcale sobie nie przypomina.

Wobec tak wyraźnie histerycznej natury cierpienia, autorzy postanowili wypróbować działanie pewnych metali i magnesu na ustrój chorego. Po przyłożeniu do sparaliżowanego ramienia kawałka namagnesowanej stali, chory po kilku sekundach zaczyna spiesznie oddychać, zmienia się na twarzy, nie odpowiada na pytania, jednocześnie odzyskuje ruchy na sparaliżowanej połowie twarzy i w kończynach prawej połowy ciała. Po kilku minutach oddech staje się równiejszym, chory uspakaja się, lecz pod wpływem magnesu wszelkie objawy zostały z prawej strony ciała przeniesione na lewą; jest t. zw. *transfert*, zjawisko znane już od dawna, które po raz pierwszy spostrzegał Charcot u histeryczek. Chory zupełnie swobodnie włada prawą ręką i nogą, ma w nich czucie zachowane, podczas gdy objawy paraliżu dotyczą obecnie lewej ręki i nogi. Co ciekawsze, że i w sferze moralno-umysłowej pacyenta zaszła znaczna zmiana; charakter, fizyognomia, mowa, wszystko jest inne, nowe, wyraz twarzy złagodniał, mowa jest grzeczna: chory, dotychczas arogancki, mówi obecnie wszystkim „panie," wymowa, poprzednio niewyraźna, stała się czystą i jasną; prócz tego zapomniał zupełnie o miejscu, w którem się znajduje, nie poznaje nikogo z otoczenia, a zdaje mu się, że jest w Bicêtre, pamięta najdrobniejsze szczegóły, dotyczące rzeczywistego jego pobytu w tym szpitalu, natomiast o wszystkich innych okresach życia, dalszych a również i najnowszych, jak np. o wstąpieniu do marynarki — zupełnie zapomniał. Taką zmianę otrzymali autorzy pod wpływem magnesu, przystawionego do prawego ramienia. Pod wpływem zaś magnesu, działającego na toż ramię z oddalenia, jako też flakonika z rozczynem chloru złota, zostaje wywołanym trzeci stan w duszy chorego, podobny do poprzedniego. Prawa strona jest sparaliżowaną, lewa posiada władzę, usposobienie zaś chorego takie samo jak w stanie drugim, lecz pamięć przeniosła go znowu w inne strony, a mianowicie do Mâcon, gdzie był w r. 1881. Chory uważa się za chłopca 18½-letniego, nie wie nic o Bonneval, o Saint-Urbain, o całym wieku dziecinnym, lecz pracuje w winnicy, jada zwyczajne potrawy, nie wierzy w pobyt swój w Rochefort, nic wie, co go łączy z tem miastem itp.

Przystawienie magnesu do karku pacyenta wywołuje stan czwarty. Po kilkuminutowem działaniu magnesu występuje paraliż obu dolnych kończyn. Chory ma usposobienie spokojne, jest nieśmiałym, zapomniał czytać, zaledwie poznaje wielkie litery, nie umie ani pisać, ani rachować, natomiast doskonale umie szyć. Znajduje się wedle swego przypuszczenia w Bonneval, ma lat 17 dopiero. Zapomniał o wszystkiem, co było przed i po Bonneval.

Zważywszy, że pewne strony duszy zawsze występowały jednocześnie z pewnymi paraliżami, autorzy ciekawi byli przekonać się, jak też zachowa się pacyent, gdy będzie wolnym od wszelkich porażeń histerycznych. Dzięki kąpieli elektrycznej udało im się usunąć wszelkie przykurczenia i paraliże, chory odrazu odzyskał czucie i władzę w całem ciele, a jednocześnie pamięć przeniosła go w bardzo odległą epokę życia, której w normalnym stanie wcale sobie nie przypominał, mianowicie do Saint-Urbain, gdzie przebywał mając lat czternaście. I teraz wmawia w siebie, że ma lat 14, a całe jego zachowanie się, mina, usposobienie, sposób mówienia, głos, postawa i fizyognomia właściwe są dla 14-letniego chłopca. O wszystkiem, co nastąpiło w późniejszem życiu, wcale nie ma pojęcia.

(D. n.).

Dr L. Wolberg.

PROCESY DZIEJOWE.

III. Stanowisko ascetów w społeczeństwie.

Ciekawemi są dzieje borykania się doktryn ascetycznych, głoszących ujarzmienie chuci cielesnej, ze zdrowymi instynktami tłuszcz społecznych. Sekty, które usiłowałyby przeprowadzić konsekwentnie wszystkie żądania ponurej swej filozofii, tem samem skazują się na bardzo małe rozmiary lub prędkie wygaśnięcie. Niech przeminie rozstrój społeczny, który wywołał walkę pomiędzy przykazaniami etycznemi a pożądaniami ciała i stworzył prądy samoumartwiania, owe grupy krańcowe wymierają— zabrakło warunków, co podsycały zarzewie ascetyczne. Sądząc z różnych urywków, pierwsze wieki ery chrześciańskiej były właśnie widownią licznych obłędów fanatycznego samodręczenia, przybranych w szaty mistycyzmu dualistycznego; bliższych jednak szczegółów nie posiadamy, istniejące zaś wzmianki pochodzą ze źródeł bardzo podejrzanych. Aleć już to, iż w cesarstwie wschodniem zachowuje się tradycya podobnych doktryn, dowodzi ich uprzedniego istnienia. Tak, niejaki Walezyusz nauczał, iż jedynie zwolnienie ciała od organów rozpłodczych zbliża człowieka do bóstwa, i wyznawcy, nawet gwałtem i podstępem, namaszczali ludzkość znamieniem „prawdziwego przymierza," odurzając ofiary, o których sądzili, iż zasługują na tę szczególną łaskę. Warto byłoby zajrzeć w stan psychiczny podobnych prądów, a psychologia społeczna może to uczynić dzięki istnieniu obecnie tego rodzaju obłąkańców. Mamy tu na myśli „białych gołąbków" i „ludzi bożych," nad którymi zatrzymamy się nieco przydłużej *).

Wyrzezanie organów płciowych, męzkich a nawet żeńskich, jest wśród nich zjawiskiem zwykłem, lubo potępianem jako tchórzostwo przez niektórych zapaleńców, mówiących, że „niewielka to rzecz walczenie z wrogiem zarżniętym, większą jest zasługą wyzwanie na bój żywego!" Mistrz założyciel sekty, będący wcieleniem ziemskiem „wielkiego Sana Sabaothu," zostawił 12 zapowiedzi, stanowiących alfę i omegę „moralności." Wszystkie, z wyjątkiem pierwszych, nakazujących cześć ku Bogu, mówią o samodręczeniu. „Nie pijcie trunków i wystrzegajcie się grzechu nieczystości;" „nie wstępujcie w związki małżeńskie i zawarte targajcie," itd. Prócz zwykłych narkotyków, wyklęto mięso, ryby, nawet kartofle i czosnek. Pokorę i samozaparcie wyniesiono do godności cnót najwyższych. Odrzucono hiararchię społeczną, członkowie są wzajemnie braćmi i siostrami, zorganizowanymi w drobne grupy pod kierownictwem „chrystusików" i „matek boskich." Dla dojścia do doskonałości, nadającej takie stanowisko, należy „umrzeć w Chrystusie," tj. osiągnąć unicestwienie własnej woli i zmiażdżenie pragnień chuci. Ale śmierć taka jest tylko pierwszym krokiem na drodze; po niej idzie „pogrzeb," gdy myśl zapomni o wszelkiej doczesności i zagłębi się w samozadumie, jak w mogile. Wtedy dopiero, pod wpływem kontemplacyi, postów i modlitw (niektórzy pościli po 40), ziarno „ducha św.," leżące w duszy każdego, wyrasta i sprowadza zmartwychwstanie. Człowiek staje się chodzącą „świątynią boską;" co odtąd czyni, czyni z natchnienia i woli ducha św., wyznawcy zaś spełniają jego zadania z ślepą wiarą. „Duch św. podstawił mnie po nad wszelkiem prawem," powiada jedna z takich żywych „świątyń." Niedziw, iż mamy tu do czynienia ze stanami newropatycznymi. Gdy policya zatrzymała jedną prorokinię, ta wpadła w gniew wielki, z pół godziny rzucała się w konwulsyach, następnie w osłabieniu poczęła mówić prędko dwoma głosami: od siebie do Matki boskiej i od Matki boskiej do siebie — cechy histero-epilepsyi. Inny prorok tak opowiada o swym stanie psychicznym: „Gdym otrzymał natchnienie, czułem w sobie radość bez granic, łzy, pokorę.. duch św. kładł mnie czasami na wznak lub wywoływał upajające ruchy, wśród których traciłem przytomność." Właśnie te zachwyty, ruchy, osłupienia są innym sposobem wyładowania energii nerwowej, która znajdowała ujście w normalnych funkcyach organizmu. Wyrzucone narkotyki powracają w postaci ruchów rytmicznych. Widzimy to na zebraniach, urządzanych w celu „wypłakania grzechów. Zbór rozpoczyna się wieczorem, od czytania żywotów św. ascetów i szermierzy. Około północy wierni tworzą koła: mężczyzni — wewnętrzne, kobiety — zewnętrzne, i obracają się rytmicznie w coraz żywszem tempie, śpiewając odpowiednie melodye. Czasami kręcą się pojedynczo i z taką siłą, iż podłoga robi się mokrą od potu, nie ustając, póki od tego „piwa duchowego" nie padną w zemdleniu na ziemię. Niektórzy wtedy trzęsą się jak opętani; inni przysiadają i wstają, wydając różne świsty i głosy; niektórzy prorokują w rytmicznym takcie... Podczas wielkich obchodów tańce ciągną się cały tydzień z przestankami obiadowymi. Co lat 10 obchodzą święto „miłości chrystusowej:" doszedłszy do zupełnego upojenia, wskutek długich poruszeń i śpiewów rytmicznych, obie płcie rzucają się w objęcia i obcują cieleśnie bez zachowania jakichkolwiek względów pokrewieństwa; dzieci, zrodzone w następstwie tego, uchodzą za dziatki ducha św. Niektórzy pisarze twierdzą o obrzędach ludożerczych, związanych z przyjściem na świat owoców tej orgii; jeżeli to nie jest przesadą (co możemy podejrzywać ze względu na źródła), ze stanowiska psychiatryi nie byłoby nic dziwnego, zwłaszcza jeżeli ludożerstwo będziemy rozpatrywali jako równoznacznik lubieżności.

Nastroje psychiczne „białych gołąbków" pozwalają nam zajrzeć w głąb prądów mistyczno-ascetycznych z pierwszych wieków bieżącej ery. Szczera wiara, umartwienie ciała, pogrążenie się w samorozmyślaniu religijnem, wszystko to sprowadzało szcze-

*) Materyał faktyczny czerpaliśmy z artykułu Mielnikowa „Bielyje golubi," *Ruskij Wiestnik*, 1869, III i V.

gólne stany emocyonalne; wyklęte chucie szukają dróg wyładowania, i oto np. zjawiają się narkotyki, słusznie zwane „piwem duchowem:“ ruchy i dźwięki rytmiczne, powstają miotania konwulsyjne zachwytu prorockiego i in. Zauważymy, iż właśnie te tańce, śpiewy, duchowe pocałowania mistycy systematyzują*) jako podstawę kultu — zniszczmy ją a bezwarunkowo zniesiemy moralność sekciarską, jak również z usunięciem katowania „osła“ u pustelników zgnieciemy ich zwycięztwo nad pożądliwością. Zresztą popędy cielesne proroków u „białych gołąbków“ znajdują i inne zaspokojenie — pod maską wyższego rozkazu. Ci pomazańcy, miotani przez „ducha św.,“ żądają od dziewcząt czasami uległości cielesnej, bo głos wyższy tym sposobem chce wykazać swój wstręt ku plugawej powłoce materyalnej, dziewczyna zaś słucha, bo odmowa oznaczałaby tryumf szatana — dumę... Zresztą dzieje przedstawiają niewiele tak krańcowych kół ascetycznych. W każdym razie, takie obłędy są krótkotrwałe. Ponieważ wtedy cielesność jest bezwzględnie wykluczaną, utrwalenie doktryny drogą naturalnego rozrostu jest uniemożliwione. Dla utrzymania nauki trzeba uciekać się do agitacyi wśród tłuszczy, tonącej w pożądliwościach. Jak rekrutuje się wybrańców, na to rzucają światło dzieje szekerów amerykańskich. Ci sekciarze są wolni zarówno od orgij samokalaczenia, jak i „miłości chrystusowej;“ dopuszczają ciągłe przebywanie obok siebie obu płci, lecz bez obcowania płciowego. Tańce rytmiczne, konwulsye, zachwyty i praca stanowią podstawę kultu. Sekta utrzymuje się przy życiu częściowo wskutek zyskiwania prozelitów na urządzanych w tym celu revivalach — oczywiście, są to jednostki o kséslonego ukształtowania emocyonalno-pojęciowego.

(D. n.)

Lud. Krz.

*) Wogóle mistycy wypracowali empiryczne metodę doprowadzania się do nienormalnych nastrojów psychicznych i sądzę, że psychologia, zająwszy się tym przedmiotem, doszłaby do wielu ciekawych rezultatów. Tak, we wszystkich mistykach ruchy rytmiczne grają ogromną rolę i są środkiem dla wyzwania stanów proroczych. Drugiem zjawiskiem jest padanie na wznak w zupełnem osłupieniu i następnie prorokowanie w tempie rytmicznem, lecz mimowolnem. Jakie siły psychiczne mogą się wtedy wyładowywać, za dowód niech służy epidemia prorocka wśród prześladowanych hugonotów za Ludwika XIV, kiedy dwuletnie dzieci i idyoci występowali jako pełni wymowy kaznodzieje. Zresztą do tego przedmiotu mamy zamiar powrócić w dłuższym szeregu artykułów.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA RUSKA.

„DROBIAZGI ŻYCIA“

Jeżeli pisarz, przez lat kilkadziesiąt pokrywający ból maską wesela i śmiechu, tak, że mu ona do twarzy prawie przyrosła, rzuca nagle minę, którą tak długo nadrabiał, i przemawia do swych słuchaczów z powagą i smutkiem — to znak, że cierpi bardzo, że mu źródło męztwa zaczyna w piersiach wysychać. Taka zmiana tonu jest zawsze zjawiskiem ciekawem.

Możemy je oglądać w słynnym pisarzu ruskim, Szczedrynie. Gdyby kto zechciał zebrać całą sumę jego dotychczasowej ironii i komicznego przedrzeźniania wad społecznych w jedną całość, otrzymałby kolekcyę złożoną z trzydziestu tomów. A gdyby same tylko celniejsze dowcipy jego i pyszne *bonmots* chciał wydać w kształcie jakichś np. „Złotych ziarnek“ mógłby liczyć na pewno, że rozejdą się po świecie i uszczerbku mu nie przyniosą, i wyrugują z obiegu nie jeden mdły koncept literatury francuzkiej. Nie mówię, naturalnie, o pomysłach Szczedryna czysto swojskich, w formę specyficznie ruską przybranych i dla zachodniowców wprost niezrozumiałych.

W dmutomowem dziele, które leży przede mną, już ani śladu znaczących alegoryj; nie ma już nad czem łamać głowy. Jasno i dobitnie mówi się tam o „drobiazgach życia,“ o tych wszystkich „świerzbiących krostach,“ które palą i toczą organizm ludzki. Są to owe niegodne ducha lepszego trwogi i obawy, troski i boleści, które szarańczą spadły na dzisiejsze społeczeństwo, utrzymują je w stanie chorobliwego naprężenia uwagi na nieokreślone i urojone gromy i nie pozwalają nikomu zająć się czemś szczytniejszem i trwalszem niż potrzeby chwilowe żołądka.

Właściwie bliżej wytłomaczyć, co to są „drobiazgi życia“ — trudno. Ich rodzajów i gatunków jest niesłychanie wiele, tak wiele, że sam autor boi się zarzutu mieszania wszystkich w jedną kupę. Ale przyczyny i pochodzenie mają wspólne: panikę i nieporozumienie, rozwieszone czarną chmurą nad lądem Europy. Jak ktoś rażony nagle lękiem, zatrzymuje dech i skulony czeka, aż się z ciemności niebezpieczeństwo wyłoni, i ruchu żadnego nie robi, tak epoka współczesna ,zdjęta strachem, z którego sama sprawy zdać sobie nie umie, powstrzymała wszelkie ruchy myśli i zamiast iść naprzód, cofa się, bojaźliwie na wszystkie strony spozierając.

Ponuro wygląda galerya typów, które dziwny ten nastrój wieku wytworzył. Do jakiejkolwiek warstwy z satyrykiem zajrzeć— wszędzie płytkość, powszedniość lub, co gorsza, nieszczęście. Chłopów ssą najrozmaitsze pijawki, tu i owdzie wzdychają po cichutku do złotych czasów pańszczyzny, a gdzie mają pewność, że raj ten utracili na zawsze, wynajdują inne sposoby wyciskania z ludu wszystkich soków. Dawniej służyła im do tego pańszczyzna i samowola, prawo życia i śmierci nad poddanymi — dziś rozmaite kasy groszowe, sklepiki dobroczynne, po wsiach zakładane, i szynki. Pod pozorem usługi i pomocy wpija się w ciało chłopa skorpion — *czumazyj*, zjada go procentami i wyłudzaną wdzięcznością za mniemane dobrodziejstwa.

Są jeszcze świeższe odmiany pijawek. Stają na granicy sioła i zatrzymują wszystkich, niosących na sprzedaż do poblizkiego miasta produkty wiejskie. Przemocą prawie prowadzą do siebie i kupują towar, oszukując na mierze, wadze i pieniądzach, a czynią to tak zręcznie, że oskubany prostak sam jest przekonany, iż zrobił dobry interes. A jednak ci wyzyskiwacze grabią i łupią często tylko dla wyżywienia się. Cóż mają robić innego, skoro wszelkie wyższe potrzeby dla nich istnieć przestały? Albo wreszcie sami chłopi. Oto między nędzarzami, umierającymi z głodu, znalazł się gospodarz zamożny i pracowity. Bogactwo nie na wiele mu się przydało, pędzi żywot zwyczajnej niegraciny. W chałupie jego są dwie izby; jedna brudniejsza służy za mieszkanie całej rodzinie i czeladzi domowej i kilkanaście osób noc całą oddycha zatrutem powietrzem, wyziewami spracowanych swych członków, leżąc nieledwie jeden na drugim. A druga izba tymczasem urąga swojej sąsiadce i czystszemi ścianami i lepszą atmosferą — ale za to przeznaczona dla gości i nocować w niej—grzech. I tak schodzi do grobu dzielny włościanin w trudzie i brudzie, ani sobie ani nikomu bytu nie uczyniwszy znośniejszym. Dlaczego? Bo „drobiazgi życia“ nie dopuszczały do samowiedzy jego instynktów szerszych, rozumniejszych i szlachetniejszych.

Obraz się zmienia i jesteśmy z autorem na bruku wielkiego miasta. Z dymu modnej knajpy wyciągamy za kołnierz typowego młodzieńca. Złoty on w całem znaczeniu wyrazu; elegant *à quatre épingles*, ulubieniec gryzetek, nadzieja rodziny, zasobny w urodę, perfumy i protekcye. Cała jego egzystencya duchowa — to zapożyczony u kogoś i raz po raz bezmyślnie powtarzany frazes *que tout est à refaire*. Szumiał, szumiał, aż się wyszumiał, wakans wysoki go nie minął, dostał piękną żonę i w posagu jedną cukrownię, a w perspektywie dwie inne, t. j. nie żony, bo tych może mieć ile sułtan, ale cukrownie; gdy zaś umrze, dzienniki rozbrzmiewają wspaniałym nekrologiem: „Wczoraj zakończył życie N. N. jeden z najżarliwszych reformatorów ostatniej doby. Jeszcze w przeddzień zgonu rozprawiał z przyjaciółmi o pewnym projekcie, który był przedmiotem jego bezustannej pieczy... Niech ci ziemia lekką będzie, cichy pracowniku!“

Szczedryn umie odmalować na kilku stronicach i posępne dramaty, bez mozołu, bez wysiłków artystycznych, ot, zapuściwszy zwyczajnie wzrok w szarą masę pospolitaków. Skromny urzędniczek spotyka się w garkuchni z biedną nauczycielką. Podziwiają wzajem swoje sieroctwo i biedę i wolni od porywów erotycznych, na które stać tylko sytych, łączą się węzłem dozgonnym. Toć we dwoje dźwigać taczkę życia— zawsze lżej. Wierzą zresztą w dobrą jakąś gwiazdę, no i nie mylą się. Ilekroć grozi klęska — zawsze traf przychodzi w pomoc i odsuwa ich od brzegu przepaści. Doczekali się nawet potomstwa; cóż kiedy, wydatki szalenie wzrastają i koniec z końcem coraz trudniej wiązać, a tu zuchwały ojciec rodziny powracając raz z roboty zaziębił się i choć nie miał ochoty kłaść się do łóżka, musiał. Przestraszona kobieta lała weń całe samowary herbaty—potu jak nie widać tak nie widać. Natomiast zawitała gorączka z maligną a w chwilach przytomności ze spieczonych ust wyrywały się rozpaczliwe słowa:

„Cóżem ja robił, po com ja żył?—a zwróciwszy wzrok ku połowicy — cośmy robili, pocośmy żyli?“

Nie pomógł i lekarz choremu, wycieńczonemu już od dawna pracą straszliwą, pracą nad siły jednego człowieka. Konał spokojnie i od czasu do czasu rzuca tylko pytanie:

„Nadziu! po co dano nam życie! Nadziu! To była katusza, a myśmy ją nazywali życiem i nie wiedzieli nawet, o co walczymy i co czynimy!“

Takich szkiców w *Drobiazgach życia* są całe tuziny. Jedne zaokrąglone i jako tako wykończone, inne— na prędce z kilku zdań jędrnych sklecone, przeplatają po prostu pasmo refleksyj społecznych. U Szczedryna proza rozumowana, fejletonowe żarty i osobne powiastki, na kilkadziesiąt stronic rozsnute, zahaczają się wzajemnie. Chwilami robi to wrażenie intuicyi wyczerpanej, niezdolnej do systematycznego tworzenia— ale wszystko, co mówi lub ilustruje, zdumiewa potęgą charakterystyki. W tem może tkwi cała siła dawniejszych i najświeższych satyr znakomitego pisarza, że typy jego są w całem znaczeniu wyrazu typami. Niechaj Zola, Daudet lub Bourget — na gruncie rozumie się całkiem innym, na gruncie stosunków miłosnych — zaczną modelować jakąś postać, mimowoli *wyróżnią* ją z pomiędzy całego rodzaju, bądź przez to, że za długo nad nią ślęczą, bądź, że zbyt subtelnie ją fotografując, nadają większą od przeciętnej i naturalnej wyrazistość. Szczedryna bohaterowie są żywcem wykrojeni z grup, liczących całe setki i tysiące. Jest to dar zachowywania miary typowej, niedopuszczający mimowolnego szekspiryzmu. Gdy przedstawia studenta konającego z głodu i na suchoty, w braku zarobku — czujesz, że stoi za nim cały nie-

mal uniwersytet, a przynajmniej cała falanga naiwnych, mknących z głuchego partykularza do światła. Ani on większy od innych, ani mniejszy. U Szczedryna są *przykłady* niedoli zbiorowej, pyszne ilustracye, u realistów francuskich *męczennicy i bohaterowie*, jak Nana, Safo, Gaussin. Bo też u niego interes etyczny, życiowy przeważa nad artyzmem dla samej sztuki. Idea szeroka wyziera zawsze z fizyognomij powieściowych.

Mało kto sprostał by też Szczedrynowi w rysowaniu sfery „umiarkowania i punktualności,“ a co ważniejsza jeszcze, w charakteryzowaniu tego, co się wszelkiej charakterystyce pióra, dłuta czy pędzla wymyka. Lubi on babrać się w tem, co mierne, mdłe, poziome, nudne — i wstrętne jak trzydniowy deszcz. Typ Maniłowa z *Martwych dusz* Hohola rozmnożył się olbrzymio w pismach jego następcy. Potrzeba odwagi nielada, ażeby obcować tak długo, jak on, z tym żywiołem zabójczo pognębiającym — i nie znam pisarza, któryby tak wytrwale jak on zaglądał w otchłań bezbarwności, maluczkich ambicyek i robaczych namiętnostek szlachty prowincyonalnej, drobnej i średniej biurokracyi i inteligencyi. Dla niego całe społeczeństwo dzisiejsze z takich nicości i błahostek się składa, a zbiór, o którym mowa, możnaby uważać za kwintesencyę tego, co dotąd stworzył, gdyby nie różnolitość formy i ton znudzonego własnem gderaniem i skargami starca, gdyby nie nastrój dziwnie jesienny, tj. w zasadzie ponury, a niekiedy tylko pogodny.

Temu nastrojowi dziwić się niepodobna. „Ach! to rzemiosło autorskie — woła zgorzkniały — to nie męczarnia, to całe piekło ducha. Kropla po kropli sączy się krew pisarza, zanim przyjdzie pod tłocznię drukarską!“ „Chory jestem, mogę to bez przechwałek mówić — nie do zniesienia. Niemoc wpiła się we mnie wszystkiemi szponami i nie wypuszcza z nich. Ręce i nogi drżą, w głowie — huk bezustanny i cały organizm przebiegają dreszcze...“ Z wielu tym podobnych utyskiwań i skarg składa się przedmowa ostatniego dzieła, niby smutny, melancholijny prolog do smutniejszych jeszcze rozpamiętywań.

Niekiedy jednak humor, rzucony w kąt, jak błazen nadworny w porze choroby króla, wyrywa się cichaczem i stroi figla. Takim komizmem, przypominającym dawne dobre czasy, dyszy opowiadanie *Aniołeczek*, ośmieszające wychowanie dzieci z „towarzystwa“ na pensyach zfrancuziałych, gdzie każą pisać wypracowanie na temat „Potknęła się,“ a metr tańca nazwiskiem *Toucheatout* chwyta dziewczęta za kolana. Matka, rozumie się, strofuje córeczkę za to, że pozwala na świętokradztwo:

— Twoje kolanka, jak i wszystko twoje, należy do przyszłości — i dopóki nie będziesz zaręczoną, wiedz, że nie wolno ci szafować...“

O pociechę stara się książę z wielkim nosem. Ale śmieszne wrażenie tego organu troskliwa macierz potrafi zrównoważyć innem:

„Tu nie o nos chodzi — prócz nosa ma on i co innego jeszcze... zresztą dowiesz się o tem w przyszłości.“ Odtąd ilekroć nos miał rozśmieszyć dziewczynę, przypomnienie słów rodzicielki sprowadzało rezygnacyę i — ślub najspokojniej odbył się.

Wyjątkami wszelako są te błyski wesela i swawoli. Ukazują się jak skrawki błękitu z za ciężkich chmur, ale wnet ołowiany kolor nieba na nowo zciemnia widnokrąg. Ku końcowi książki usposobienie jesienne Szczedryna, zwątpienie i żal zmarnowanego na czczą pogoń żywota, potęgują się niezmiernie i znajdują przygniatający wyraz w spowiedzi pewnego złamanego serca, Nie trudno domyśleć się, kto owym męczennikiem idealistycznych mamideł. Snadź zbolały szermierz czuje, że ostatnia godzina niedaleko i czas pokazać światu rany dotąd starannie ukrywane, czas wypowiedzieć jasno to, co nurtowało i truło umysł przez tyle lat, czas zrobić bilans doczesnej wędrówki i rezultat niezmordowanej działalności ogłosić. Jest on w przekonaniu Szczedryna zupełną upadłością i zasługuje na jedno tylko miano:

„Słowa, słowa i nic tylko słowa.“

N. Hirszband.

LITERATURA RUSIŃSKA.

Ruskij spiwannyk, ułożyw Kost' Pańkowski. Nakł. tow. „Proświta.“ Lwów, 1888.

Rusini — lud prosty, zarówno jak i inteligencya, należą do narodów śpiewających przy każdej sposobności, a przytem obdarzonych w przeważnej masie osobników bardzo czułym słuchem muzykalnym. Osobliwie śród ludu prostego jednostki pozbawione tego słuchu należą do rzadkości. Nie dziw więc, że lud ten w ciągu wieków wytworzył takie mnóstwo wysoce charakterystycznych pieśni i wysoce oryginalnych melodyj, których większa część — można powiedzieć śmiało — dotychczas nieznaną jest światu ukształconemu, a z których i ta część, jaką dotychczas podsłuchano, zyskała wielkie pochwały znawców i służyła nieraz za kanwę dla takich mistrzów, jak Beethoven i Liszt, a w ostatnim czasie daje materyał i wzory dla wytworzenia osobnej szkoły narodowej muzyki ukraińskiej. Współczesnymi jej przedstawicielami są kompozytorowie ukraińscy Łysenko i Niruzeński; w Galicyi postępuje za nimi młody, utalentowany artysta, Niżankowski; z polaków szli tą drogą Lipiński i Tymolski, z ukraińców dawniejszych inicyatywa w tym kierunku wyszła od Opanasa Markiewicza.

Nowy ten kierunek w Galicyi walczy jeszcze z dawniejszym, kształconym przeważnie na muzyce kościelnej Bacha, Haydna i Bortniańskiego, a obok tego na nowszej niemieckiej muzyce operetkowej. Najwybitniejszym reprezentantem tego kierunku był zmarły przed kilkunastu laty ksiądz Werbickij, z żyjących zaś kompozytorów do tego napół tylko narodowego grona zaliczyć wypada Izydora Worobkiewicza, Anatola Wachmianina, Wiktora Matiuka i Porfirego Bażańskiego. Dwaj ostatni jednak zaczynają coraz bardziej zwracać się do motywów czysto narodowych, zwłaszcza ks. Bażański, autor opery *Olesia*, od dwóch lat zajął się zbieraniem melodyj pieśni ludowych, których dotychczas, nie licząc odmianek, zebrał około półtora tysiąca.

Pieśń ma u nas w chwili obecnej nietylko artystyczne, ale i społeczne znaczenie, jako jeden z pierwiastków kojarzących ludzi, ułatwiających ich organizacyę i współdziałanie dla celów odrodzenia narodowego. Dowodem tego liczne chóry włościańskie, powstające i rozwijające się równolegle z czytelniami ludowemi, dowodem licznie zapełniane prywatne szkoły śpiewu z nut dla włościan, dowodem popularność, jaką w niektórych stronach cieszą się śpiewacy i samorodni poeci ludowi, którzy pod znane i ulubione melodye podkładają swoje własne pieśni na współczesne społeczno-polityczne tematy i w pewnych czasach idą z niemi od wsi do wsi, od jarmarku do jarmarku, poruszając tłumy, wnosząc w nie świeżą nieraz myśl lub przynajmniej trafne hasła, dające wyraz temu, co wszyscy czują, co wszystkich boli.

Wobec takiego stanu rzeczy ważnem jest zebranie „Śpiewnika,“ świeżo wydanego przez „Proświtę.“ W pięknej książeczce 16-o, na 280 stronach, umieszczono tu 250 pieśni, w połowie ludowych, w połowie zaś pochodzących z pod pióra wszystkich wybitniejszych poetów rusińskich dawniejszej i późniejszej doby. Pod każdą pieśnią, gdzie to było możliwem, wskazano imię autora i kompozytora, w przedmiocie zaś podano główne zbiory kompozycyj, w których znajdują się melodye do pieśni umieszczonych w tej wiązance. Szczególnie uwzględniono tu utwory najnowsze, najpiękniejsze pieśni ludowe Żyrenki, jego też melodye do poezyj lirycznych Szewczenki, Niżankowskiego — do pieśni Fed'kowicza, kompozycye Markiewicza, Werbickiego, Wachnianina, Worobkiewicza, Ławrowskiego, Matiuka, Hulaka-Artemowskiego i Niszczyńskiego. Wogóle zbiór ten wykazuje bardzo znaczny, jak na początek, zastęp pracowników na polu muzyki rusińskiej; z utworów obcych weszły zaledwie dwa lub trzy.

Pieśni podzielono na patryotyczne (nr 44), kozackie, burłackie, rekruckie i czumackie (nr. 33), miłosne (102), dumki (58) i żartobliwe (15); w ramach każdego z tych pięciu odziałów oddzielono osobno pieśni ludowe, a osobno literackie. Wydanie piękne i staranne; życzyć by należało gdzieniegdzie poprawniejszych tekstów ogólnie znanych utworów literackich (nietaktownem jest np. spotykane gdzieniegdzie poprawianie utworów Szewczenki) i lepszych, kompletniejszych odmianek pieśni ludowych. Pominąwszy te podrzędne usterki, zbiór p. Pańkowskiego uważać można za wcale udatny i odpowiadający celom praktycznym, tem bardziej, że i cena (50 kr.) jest zupełnie przystępną *).

Iwan Franko.

*) U nas podobne wydawnictwo byłoby bardzo pożądanem. *Red.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dobrowolne opodatkowanie się. — Ziarno przyszłości. — Piękne nadzieje.—Wykład „metody“ p. Ochorowicza. — Kto nie ryzykuje, nic nie ma. — Trudne położenie. — Upowszechnienie metody. — Rodziewiczówna. — Literatura teatralna.—Przez jakie punkty przechodzi nasza uwaga. — Uspokojona burza nad Ogrodem saskim. — Sumienia gwałcące i gwałcone. — Z tajemnic Warszawy. — Spowiedź i protesta.

Wnosząc z opłat za przejazd statkami parowymi, obliczając przypuszczalnie koszta komunikacyi kołowej i wydatki podróży oraz zabawy, przyjąć można, że Warszawa opodatkowywa się co rok dobrowolnie pięćdziesięcioma tysiącami rubli na wyprawę do Bielan podczas Zielonych Świątek. Głębokiego szacunku godzien każdy naród, który umie i chce opodatkowywać się sam dla korzyści społecznej; i my więc zasługujemy na wielkie uznanie za ofiary, ponoszone w wędrówkach do Watykanu, Częstochowy i Bielan, w poślubnych wycieczkach za granicę, w balach karnawałowych itp. Ktoś może powiedzieć, że dziesiątki i setki tysięcy rubli, poświęcone celom nabożeństwa i zabawy, nie są jeszcze tą wspaniałą postacią obywatelskiej ofiary, na którą zdobyły się lub zdobywają inne narody, ale i dąb musi być naprzód żołędziem. My jesteśmy dopiero w epoce nasion. Kiedyś — *nb.* jeśli żyć będziemy — za lat tysiąc z tych drobnych ziaren wyrosną drzewa. Wtedy, wysłuchawszy np. czyjejś rozumnej rady, że na jakieś przedsięwzięcie pożyteczne dla 12 milionów ludzi potrzeba pieniędzy, złożymy dobrowolnie tyle, ile dziś na odpust do Bielan. Ponieważ nikt z żyjących obecnie nie doczeka 1988 r., wielu zatem drażni się powolnością rozwoju w tym kierunku. Należy jednak być cierpliwym. Jestem pewien, że nawet dziś, gdybym odezwał się do uczuć obywatel-

skich i powiedział: szanowni ziomkowie, można nabyć Szlązk za 50,000 rs., zbierzcie tę sumę!— z pewnością na moje ręce przysłanoby co najmniej 70 rs. z kopiejkami. A co to będzie za lat tysiąc — jeżeli Pan Bóg tak długo żyć pozwoli!

Powinniśmy tedy bardzo cieszyć się tem, że na wycieczki do Bielan, Częstochowy lub za granicę społeczeństwo nasze opodatkowało się dobrowolnie i bez żadnego przymusu płaci znaczne sumy, bo przez to dowodzi, że posiada już zaród zdolności do poświęceń materyalnych dla dobra ogólnego i że długo żyć będzie. Według bowiem najskromniejszych obliczeń, ażebyśmy mogli spełnić ten szereg zadań, który inne narody spełniły, musimy istnieć jeszcze około 5 tysięcy lat, a ponieważ Opatrzność zapewne nam je wyznaczyła i z obowiązku nie zwolni, na ten więc przeciąg czasu mamy żywot zapewniony. O jakże bym pragnął porozmawiać ze światłym potomkiem naszym w r. 2,000! Gdy on wtedy będzie podziwiał i chwalił swych rodaków za złożenie 700 rs. na oświatę ludu, ani się domyśli, że ja przed 112 laty już tę wspaniałą ofiarę przewidywałem.

Co do ostatnich Zielonych Świątek, skutkiem pięknej pogody, przeszły one na Bielanach bardzo ochoczo. Oblatywała wielotysięczny tłum pogłoska, że wieczorem ukazywał się i straszył ucztowników duch Staszica, że inteligentniejszych i zamożniejszych prosił, ażeby poprzestali na kościele i miejscach zabawy, a nie odwiedzali jego grobu, ale temu wierzyć trudno. W każdym razie ludzie bogatsi, których jedyną ofiarą na cele społeczne bywa wycieczka do Bielan, niech unikają mogiły skąpca i dziwaka. Sam on nie zmartwychwstanie, ale ich sumienie może go przypadkiem wskrzesić.

Objaśnienie „metody“ p. Ochorowicza przez d-ra Szumlańskiego w *Zdrowiu*, metody—jak wiadomo— sowicie opłacanej a tylu mającej zwolenników, że znachor aż listem publicznym tamuje ich napływ, objaśnienie to jeszcze bardziej utwierdza mnie w ufności do naszych uzdolnień dobrowolnego opodatkowywania się. Boć jeżeli dziś składamy tysiące rubli w kieszeń hypnotyzera, który przyjął sobie za godło: „trzeba być zuchwałym, ażeby cokolwiek osiągnąć,“ to przecie za lat 500 zdobędziemy się na drugi przytułek dla podrzutków. Z tego względu szanuję źródło dochodów p. Ochorowicza. Króciutki zarys jego „metody“ już podałem; dr Szumlański, opisujący wyniki jego doświadczeń w klinice szpitala św. Ducha, wysypał taką masę ślicznych pereł zuchwalstwa, olśniewających naiwność naszego ogółu, że dziwiłbym się każdemu, ktoby ich w całości nie poznał. Ja tylko wybiorę tu najgrubsze. P. Och. tedy „nie wyłącza z zakresu swej terapii *żadnego* zboczenia jakiegokolwiek organu, *wszystkie* choroby uważa za nadające się do leczenia hypnotyzmem, a u niewrażliwych — magnetyzmem... Dla niego, zdaje się, nie ma chorób nieuleczalnych, nawet niedorozwój kończyn, trwający od lat 13, może stanowić przedmiot zabiegów leczniczych; nie istnieją dlań wskazania lecznicze, wszystko mu jedno, jaki organ i jak jest chory.“ Gdyby można było zapomnieć o dręczeniu chorych i o ujemnych wpływach „metody“ na ich zdrowie, czulibyśmy serdeczną litość nad biednym hypnotyzerem, który ustawicznie chybia w zgadywaniu najelementarniejszych wiadomości z anatomii, który w rozpoznawaniu choroby robi rozpaczliwy skok od zaburzeń obiegu krwi w nogach do apopleksyi rdzenia, który bezskutecznie wywija rękami, przykłada swe blaszki, daje chorym w śnie hypnotycznym rozmaite rozkazy, a oni ich nie spełniają, który uśpiwszy ich, obudzić nie umie, który widząc fatalne wyniki swego leczenia, czepia się bądź wątpliwej i maleńkiej poprawy, jaką przyznaje jedna pacyentka (ta nieoceniona niewiasta, która kiedyś zapewne odegra rolę klasycznego świadka, została wypisana ze szpitala i używa bez przeszkód dobrodziejstw metody), bądź też ucieka się do paradnej wymówki, że lekarze udaremniają jego wysiłki, podając chorym myśli przeciwne (kontr-suggestya). Jak rzekłem, wlazłszy w skórę p. Ochorowicza, musielibyśmy przyznać, że on piekł się na rożnie przy gorącym ogniu. Dowiedzieć się wobec stu osób, że rdzenia tam nie ma, gdzie go napewno oczekiwałeś, usłyszeć krzyk, że kobieta, która miała być uleczoną, umiera, namawiać, niemal błagać wszystkich, żeby byli zdrowi i patrzeć, jak żaden między nimi przez samo miłosierdzie tego nie czyni, rozkazać histeryczce, ażeby nigdy nie podrzucała tułowiem i widzieć, że ona po zastosowaniu „metody“ jeszcze bardziej podrzuca — darujcie, ale to tak ciężkie położenie, że nawet p. Ochorowicz nie wytrzymałby w nim bez opancerzenia się zasadą: „trzeba być zuchwałym, aby cokolwiek osiągnąć.“

Usunięty ze szpitala, urzeczywistnia tę zasadę w praktyce prywatnej. Co właściwie robi? Na to pytanie odpowiada nam dr. Szumlański: Ponieważ wszystko mu jedno, jaka spotyka chorobę, oszczędza sobie trudu jej badania. Jakby przewidując, że wpadnie na tak szczęśliwy pomysł uproszczenia zadania medycyny, nie zadawał sobie pracy, aby się nauczyć anatomii, fizyologii i wielu innych nauk, będących niezbędną podstawą wykształcenia lekarskiego. Nie tracił też czasu na obserwacye w szpitalach, dociekanie bowiem istoty choroby jest niepotrzebnem, dość, gdy ktoś opowie mu swe dolegliwości. Wtedy p. O. przykłada rękę do tej lub owej części ciała i doznaje w niej pewnych wrażeń, następnie próbuje zapomocą cudownego przyrządu (hypnoskopu), czy dany osobnik jest nań wrażliwym; wówczas usypia go, pociąga rękami wzdłuż całego ciała lub pewnego organu i mówi: skoro się obudzisz, masz być zdrowym.

Przedstawiłem szczegółowo używanie „metody,“ gdyż pragnę jej wyznawcom wskazać sposób jaknajszerszego korzystania z niej. Ponieważ p. O. ogłasza w *Kuryerze warsz.*, że „nie może sobie dać rady z wzrastającą ciągle liczbą osób pragnących leczyć się magnetyzmem,“ ponieważ „z małymi wyjątkami przyjmuje tylko chorych nerwowych i umysłowych“ (do tyfusów, uwiędłych kończyn itd. zniechęcił się), przeto niech każdy sprawi sobie tylko hypnoskop, a według powyżej przytoczonych zasad, może leczyć wszystkich na wszystko. Byłoby rzeczą pożądaną dla uniknięcia „kontrsuggestyi“ wyprowadzać pacyentów w jakieś oddalone miejsce, np. do lasu lub na pole, tam ich usypiać, obmacywać, obciągać rękami całkowicie lub częściowo, ale na wypadek niemożności obudzenia ich pożądanym jest w bliskości lekarz. Wprawdzie p. O., niezabezpieczony patentem dla swego wynalazku, ostrzega przeciw następstwom „naśladownictwa,“ gdyż „*ta sama* kombinacya czynników naturalnych, która jednemu pomogła, drugiemu może w *tej samej* chorobie zaszkodzić,“ wprawdzie uprzedza o potrzebie rozpoznawania nie tyle „*natury* choroby (w tej sztuce doznaje zawodów), ile natury chorego“ (czy dość naiwny); ale my znamy się na figlach monopolistów. P. O. mówi jak ów proboszcz, który zaręczał, że jego msza więcej warta, niż odprawiona przez wikarego. Zatem używajcie cudotwórczej „metody“ do syta, a chociaż lekarze pójdą z torbami i zakłady pogrzebowe zbankrutują, co nas to obchodzi, jeżeli będziemy wszyscy zdrowi. W tej nadziei życzę Warszawie, ażeby pierwszy syn, który się w niej jutro narodzi, był — Wilkońskim.

Autorka powieści, nagrodzonej na konkursie *Kuryera warsz.*, p. M. Rodziewiczówna, jest już dziś o tyle sławną, że wyprawiono dla niej ucztę i opowiedziano bardzo drobniuchne szczegóły z jej życia prywatnego. Patrząc na tę uroczystość bicia czołem przed talentem, który zaledwie odwinął pierwsze listki swego kwiatu, mimowolnie zapytujemy: gdyby p. Rodziewiczówna napisała tę samą powieść i wydrukowała ją bez konkursu, czy też składanoby jej hołdy? Bynajmniej. My bowiem jesteśmy narodem teatru. Najucześniejsza książka nie zwróci tej uwagi, co najlichsze wypracowanie, przeczytane publicznie z katedry; poświęcimy tomy sprawozdań farsie francuskiej, którą odegrano, a nie wspomnimy ani słowem o poważnym utworze swojskim; będziemy rozwieszali w pismach bzdurne nowelki, przysłane na konkurs, a pominiemy znakomitą powieść, wydaną bez tego trybunału. Słowem uwaga nasza obraca się tylko w obrębie widowisk i przedstawień — teatralnych, katedrowych lub konkursowych. Gdybym chciał, napełniłbym cały kraj mojem nazwiskiem, włożywszy je w którąkolwiek z tych trąb (ażeby *Ateneum* nie zaskarżyło mnie, że koronuję się sam na Aristotelesa lub Shakespeare'a, uprzedzam, że mam na myśli prelekcyę o prawdomówności tego pisma lub tragedyi z dziejów Meletusa bez Sokratesa, któraby była przedstawioną). Że o taką sławę wielu się kusi — nie dziwno. Ale że człowiek poważny musi czuć wstręt do chwały w ten sposób nabytej — to także zrozumiałe, zwłaszcza, że znamy wielu głośnych niedawno bohaterów, których przykryto milczeniem niby mogiłą. Kto dziś wie coś o p. Kozłowskim? A przecież ten człowiek przez kilka miesięcy był niedawno najsławniejszym polakiem. Po *Albercie* napisał takiej samej wartości *Esterkę*, ale ona już nie była na konkursie i na scenie warszawskiej, dla tego ledwie o niej bąknięto i „Shakespeare“ nasz przepadł bez śladu. Proszę teraz pomyśleć, dokąd zajdzie literatura, prowadzona przez taką krytykę?

Burza z powodu zamachu na ogród Saski, która uniosła Prusa (niby trąba powietrzna ptaka) w krainę humoru arytmetycznego, po listach publicznych szan. prezydenta i p. Lindleya, uspokoiła się o tyle, że nad naszym „letnim salonem“ wisi już zaledwie poszarpana chmura. Ponieważ wszystkie pisma uderzyły w dzwony i dzwonki na gwałt, zaczęto więc uspakajać rozpłakaną i strwożoną opinię publiczną. Stanęło na tem, że teraz Ogrodowi nie grozi żadna amputacya szóstej części, ale p. Lindley, przewidując, że ona w przyszłości okaże się nieuniknioną, radzi, ażeby ją odpowiednimi środkami przy kanalizacyi ułatwić. Wprawdzie sumienie naszego miasta, *Kuryer warszawski*, żąda poręczenia nietykalności ogrodu Saskiego na całą przyszłość, ale jest to już nadmiar obrończej energii, chwalebny w tym organie, ale nas ludzi spokojniejszych nieobowiązujący. Uśmierzmy więc drżące serca wiarą, że zacny i rozumny gospodarz Warszawy, który o nią dbał zawsze, nie skrzywdzi jej i tym razem.

Właściciel jednej z większych fabryk warszawskich wydał okólnik, ażeby wszyscy jego robotnicy i oficyaliści odbyli spowiedź i złożyli w kantorze dla kontroli kartki. Nie będę dociekał, jakie ma prawo ten jegomość tak samowolnie platerować nabożnością sumienia swych pracowników; warto wszakże widzieć, czem wyziera swoje. Pewien jego oficyalista, przeziębiwszy się w kantorze, zachorował na zapalenie płuc, a następnie na suchoty. Wbrew obowiązkowi, zastrzeżonemu ustawą, pobożny fabrykant nie wypłacił choremu pensyi w trzecim miesiącu. Koledzy zebrali między sobą składkę i obawiające się gniewu zwierzchnika, przesłali ją suchotnikowi tajemnie. Mimo tej pomocy biedak zmarł, a jego rodzina zaprosiła towarzyszów na pogrzeb. Ale ci, znowu lękając się pana, skłaniają rodzinę do przesłania zaprosin i jemu. Cóż powiecie? Ten sam bogobojny człowiek, który zmusza swych pracowników do spowiedzi, przed którym oni tajemnie wspierają chorego kolegę, zabrania im uczestniczenia w pogrzebie pod groźbą utraty miejsca.

Zaiste, ten człowiek powinien się wyspowiadać, nie dostać rozgrzeszenia a za pokutę modlić się na grobie swego murzyna.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kolonie letnie dla dzieci. — Projekt p. Fritschego.— Zapał duchowy gminu. — Inteligencya prowincyi.— Położenie lekarzy i uwaga p. Gensza. — Dlaczego lud w okolicach Chmielnika czuje wstręt do czytania?

W sam czas dr. Gustaw Fritsche ogłosił sprawozdanie ze stanu kolonij letnich dla ubogiej i słabowitej dziatwy. Nasza publiczność skora jest do ofiar, gdy się jej w stosownej chwili przypomni cząstkę pola (bardzo u nas obszernego) do zasiewania czynem miłości bratniej, a jeszcze skorszą — gdy widzi pomyślniejsze rezultaty swej pomocy. To też można liczyć na stałe wzmacnianie i rozwijanie wątłych ciałek, których tysiące giną pod przemocą gryzących warunków życia. Ogółem przez lat sześć korzystało ze świeżego powietrza, zdrowego pokarmu i ruchu 1,009 dzieci. Ofiary wynosiły w zeszłym roku w pieniądzach rs. 3,493 kop. 5. Sporo było przedmiotów w naturze, jak płótno, barchan, szczotki, butelki wody mineralnej itd. Z materyałów tych protektorki uszyły znaczny zapas ubrania, wartości co najmniej 700 rs. Wydatki wynosiły rs. 3,702 k. 13, zatem niedoboru było 209 rs. 8 k. Czterotygodniowy pobyt jednego dziecka na wsi kosztował rs. 12 k. 72, kiedy w latach poprzednich — rs. 16 k. 26 (1885 roku) i rs. 14 k. 78 (1886). Jak sprawozdanie twierdzi, zmniejszenie to wydatku dzieje się tylko dzięki umiejętnej oszczędności, a nie z uszczupleniem dobrobytu dziatwy. Wszystkie dzieci po powrocie wyglądały świetnie; siła i waga ich powiększyła się znacznie. Oprócz wysyłania większemi partyami, po raz pierwszy w roku zeszłym zjawiła się nowość. Oto p. Chełmicki, właściciel ziemski, z własnego popędu wziął pod swą opiekę 12 chłopców i umieścił ich, po jednym lub po dwóch, u bliższych i dalszych sąsiadów. Chłopcy przez cztery tygodnie biegali po polu, jeździli konno, pilnowali robotników w polu i lesie, wydawali kwity itd. Wrócili uszczęśliwieni, niektórzy zupełnie przyodziani, inni dostali nawet „w upominku“ od swych gospodarzy pieniądze na wpisy szkolne. P. Fritsche wyraża swe życzenie, aby w ślady p. Ch. poszli inni obywatele, aby w blizkości kolei żelaznych chciano przyjmować po jednym, dwóch chłopców lub dziewczynki, aby utworzono odpowiednie komitety powiatowe dla umieszczania dzieci nietylko z Warszawy, ale i z innych większych miast kraju.

Tak zwane „nizkie warstwy“ naszego społeczeństwa, pomimo gniotących ciężarów życiowych, posiadają ogromny zasób energii duchowej, jednostronnie od wieków rozwijanej. Pan *Sarmaticus*, fejletonista *Dziennika łódzkiego*, opowiadając o budowie kościoła, kreśli znamienny obrazek: „Widziałem tam ludzi starych, młodych, dzieci nawet, a śród tego mrowiska łatwo mi było rozpoznać nienawykłych ani do rydla, ani do taczki. Byli to wprawdzie robotnicy, ale inni. Dorożkarz, który czekał na mnie przed probostwem, wszedł na plac budowy, a widząc, że odjeżdżać jeszcze nie myślę, zrzucił z siebie wierzchnią kapotę i wziął się do taczek.“ Oprócz robotników płatnych — powiada świadek — pracuje tam wielu z dobrej woli. Ludzi tych zagrzewa wiara, że się przyczynią do chwały i dobra domu bożego. To ich łączy i wytrwania udziela. Starajmy się rozszerzyć pojęcie o domu bożym...

W tej samej Łodzi pastor umie w swej gminie wszczepiać pojęcie *konieczności* spełniania obowiązków względem bliźniego. Dzięki temu ochronka dla sierot otrzymuje *bezustannie* składki większe i drobne. Szkoda, że się nie znalazł nikt taki, co by potrafił w mózgi przybyszów nadsprejskich wszczepić pojęcie *konieczności* pewnych względów dla tubylców, choćby we własnym interesie. Przyjeżdża do grodu bawełnianego damska orkiestra z Niemiec i na afiszach pomija polski język. Lepiej się zna na grzeczności p. Starycki, który przybywszy tamże z trupą małoruską, obwieszcza się po polsku, rusku i niemiecku. Oto jeszcze podobny obrazek arogancyi niemieckiej. Niejaki Juliusz Janke, kupiec łódzki, otrzymawszy list po polsku od fabrykanta warszawskiego, p. Hocha, zrobił mu zarzut, że nie ma pojęcia, jak się prowadzą interesy, że zakład jego nizko stoi, skoro nie posiada nikogo, co by potrafił prowadzić korespondencyę w języku niemieckim itd. P. H., czując się obrażonym, zaskarżył brutala sądownie. Sędzia pokoju nie dojrzał żadnej obelgi, z tego powodu zjazd sędziów będzie rozpatrywał sprawę ponownie.

W dalszym ciągu zakotłowała się w prasie prowincyonalnej sprawa inteligencyi na wsi. Podczas gdy lekarz niema zajęcia — powiada *Gazeta radomska* — to $^9/_{10}$ ludności pozostaje bez pomocy lekarskiej, nauczyciel poszukuje lekcyj, a dziesiątki tysięcy dzieci wzrastają bez iskry wiedzy; agronom zajmuje się przepisywaniem, a rolnictwo stoi na najpierwotniejszym stopniu rozwoju. Prowincya potrzebuje, oczekuje inteligentnych pracowników, a tymczasem specyaliści przepełniają miasta, marnieją bez pracy, albo zaledwie pchają biedę z dnia na dzień, trudniąc się zajęciem, niemającem często nic wspólnego z ich fachem. Czyż wykształcony nasz specyalista nie wytrzyma istotnie współzawodnictwa ze znachorem, akuszerką wiejską, lub szynkownianym pokątnym doradcą, czy człowiek inteligentny nie potrafi pozyskać zaufania ludu i przestać być dla niego panem? A cóż powiedzieć *o nudach*? Czy to nie dziwne! Nudno, nie można żyć, niema na prowincyi towarzystwa, niema ludzi, niema z kim się podzielić myślami, ludzi zaś niema dlatego, że na prowincyi... nudno!! A zresztą, jakaż to wymiana myśli odbywa się w cywilizowanych warunkach naszego życia?... Nie wiem, czy to doktór (p. M.) przemawia w *Gaz. radomskiej*, czy też inny jaki inteligentny pracownik, dość, że go widzę bezstronnym. Inne stanowisko obrał p. Juliusz Gensz, lekarz, w *Korespondencie płockim*. To nie człowiek, patrzący szeroko na stosunki społeczne, to już występuje ścisły, żarliwy obrońca swej skóry. Nie przeczę, że pomimo poglądów, czołgających się wązką ścieżką karyery, w biadaniach jego i uwagach jest wiele prawdy. Dla poprawienia bytu materyalnego lekarzy wiejskich, autor stawia niezbędne warunki: aby cała ludność uznawała potrzebę leczenia; aby poczuwała się do obowiązku wynagradzania za kuracyę. Tymczasem przy dzisiejszym poziomie oświaty i cywilizacyi większości prowincyonalnej — mówi p. G. — wcale jeszcze o tem myśleć niepodobna. Do dziś w miastach gubernialnych i powiatowych leczy się: urzędnik, najczęściej biedak, kupiec, niektórzy z właścicieli domów i żydzi, nie mówiąc już o „proletaryacie“ (czy urzędnik-biedak i rzemieślnik nim nie jest?), przeciętna ludność rzemieślnicza wcale się nie leczy, lub też zasięga rady tam, gdzie znajdzie ją niby darmo, to jest u znachorów, felczerów, a w najgorszych wypadkach — w ambulatoryach szpitalnych. Raj to jeszcze wobec dawnych małych miasteczek, a dzisiejszych osad wiejskich; tu bowiem oprócz większych właścicieli ziemskich, których stosunkowo jest dość mało, a i ta liczba coraz się zmniejsza, oprócz radzącego się od czasu do czasu (czemu nie codzień?) oficyalisty, pozostają małomiasteczkowi żydzi, których ogół „pomimo najszczerszej woli i chęci,“ płacić wcale nie może. Co się tyczy włościan — powiada p. G. — ci o pomoc lekarską wcale się nie zgłaszają, z wyjątkiem: 1) ciężkiego, kilka dni trwającego porodu i to wówczas, kiedy pomoc wszelkich bab, swatek, domorosłych akuszerek okazała się niedostateczną; 2) przy pokaleczeniach maszynami rolniczemi, gdy wprzód przywieziony felczer uzna to za stosowne; 3) po bijatykach, kiedy im idzie o obdukcyę. Czy to ostatnie złe, panie Gensz? Powinieneś pan prosić niebiosa o jaknajczęstsze takie bijatyki, bo tu znachor, ani felczer nie będą mieli siły współzawodniczyć z panem. A możeby ci szkodnicy zupełnie utracili moc, gdyby nie ta pańskość lekarska, będąca chińskim murem, albo ciskanie w oczy ogółu zapożyczonych promieni blasku magnackiego. „Zawód lekarski ma to w sobie — twierdzi p. G. — że każdy musi swą biedę starannie ukrywać, inaczej — straci resztę klienteli, a w dodatku nazwą go niedołęgą i nieukiem. W tem właśnie leży przyczyna, że rzadko który z lekarzy zdradza się z rzeczywistymi dochodami, przeciwnie, każdy pozuje przynajmniej zewnątrz na człowieka mającego dostatki i tym sposobem wprowadza w błąd łatwowierną publikę.“ Czyż tak? Miałażby ludność prowincyonalna być do tego stopnia bezrozumną, podążać tam, gdzie pozłacania, aksamity i karety? Znam lekarzy ubogich z pozoru, mieszkają oni w skromnych domkach, jeżdżą w prostych bryczkach, a pomimo to powszechne mają uznanie, praktykę ogromną i... spory zapas gotówki. Przeciwnie, o pnących się na wyżyny wielkopańskie słyszałem zdania chorych: „Gdzie ja tam pójdę na takie salony; toż trzeba mieć w ręku przynajmniej pięciorublówkę.“ Tak powiada światły proletaryusz, a jakichże wrażeń dozna ciemny? Ust nie otworzy, nie potrafi określić swej dolegliwości, onieśmielony pańskością otoczenia i obejścia się. Jeśli w większości wypadków istnieje śród ogółu takie mniemanie, jak twierdzi p. G., kto wam winien, panowie lekarze? Samiście stworzyli fałszywe położenie, sami przyzwyczailiście publiczność do hołdowania bladze. Dla czego 600 rs. pensyi rocznie jednym pracownikom inteligentnym z rodziną na prowincyi wystarcza, a dla początkujących lekarzy kawalerów jest to nędza? Bo pierwszem ich zadaniem jest — imponować. Wobec tego nie ma się czemu dziwić, że—jak utrzymuje p. Gensz — do dziś dnia istnieje przekonanie (gdzie?), iż lekarza okpić, to nie grzech, bo to człowiek, któremu pieniądze płyną drzwiami i oknami. Prawda, że położenie bywa nieznośne, nie płacą ci, którzy mogą, wezwanego doktora na kilka już staj od celu podróży zawiadamiają, że jest niepotrzebny, że gdyby taki lekarz upomniał się o należność lub zaskarżył dłużnika do sądu, opinia schłostała by go „jak ostatniego łotra,“ ale gdzież niema wyzyskiwania, gdzie się bezmyślna opinia nie miota?

Ogół, zwłaszcza ubogi umysłowo, zawsze musi mieć jakąś kość do gryzienia; bywają niemi jednostki, z których się składa ten sam ogół. Dlaczego tak jest — każdy zrozumie, choćby z malutkiej charakterystyki okolic Chmielnika (w Kieleckiem), podanej przez korespondenta *Gazety rolniczej*. Działalność naszych pań — mówi on — nie przechodzi po za zakres mody i prowadzenia bardzo starannego domowego gospodarstwa. Tak zwana inteligencya czyta bardzo mało. Po za tem: włościanie czują tam wstręt do druku. Sam korespondent żarliwie zachęcał lud miejscowy do abonowania *Gazety świątecznej*, zachwalał podarunki tego pisma, ale mu na to odpowiadano: „Ej! kto to kiej słychoł o cytaniu gazety!“ Gdyby redakcya przysłała obraz, kto by go otrzymał — zapytywali, a jeśli pług, kto by nim orał, „kiej to cała wieś płaci.“ Nie mogąc nic wskórać, zachęcający udał się do wójta, ten mu odpowiedział: „Kiej ta nasi dziadowie i ojcowie nie cytali gazety, to i my

obydziewa się bez niej.“ Zapewne cała przyczyna wstrętu do czytania — dodaje korespondent — leży w tem, iż miejscowa inteligencya, odgrodziwszy się murem chińskim od ludu, nie próbowała nigdy przedstawić mu korzyści z czytania, nie umiała wszczepić zamiłowania do tego rodzaju przyjemności i rozrywek. „I przejdą może całe dziesiątki lat, a włościanie w okolicach Chmielnika, prócz książki do nabożeństwa, nie wezmą żadnej innej do ręki.“

Drogomir.

Z Łomżyńskiego. Projekt Towarzystwa wioślarskiego w Łomży, (o którym w swoim czasie pisałem), nie uzyskał zatwierdzenia... Podobny los spotkał tworzącą się w Mazowiecku ochotniczą straż ogniową.

Znany to fakt, że po większej części nie posiadamy wytrwałości w prowadzeniu raz rozpoczętej pracy, ale nie wszędzie i nie... zawsze. Oto teatr amatorski w Łomży przed niedawnym czasem obchodził 40-letnią rocznicę swego istnienia z weteranem p. Sankowskim (miejscowym rejentem) na czele, a okolicznościowy wiersz jednego z młodszych prawników tutejszych streścił pobieżnie historyę tej instytucyi i jej zasługi. Rzeczywiście szpital miejski, biedni uczniowie gimnazyum, straż ochotnicza i Towarzystwo dobroczynności (mówiąc nawiasem, mocno robiące bokami w ostatnich czasach) — nie włączając w tęn poczet licznych skojarzonych par... małżeńskich — wiele zawdzięczają jubilatom. Jakkolwiek szkodliwem jest przecenianie znaczenia teatru, zresztą bardzo powszechne nietylko na prowincyi, przyznać jednak trzeba, że w pewnych warunkach wiele dobrego zdziałać on może. Niedawno właśnie miała Łomża możność porównać dwie odrębne, choć tak pokrewne cywilizacye, posłuchać mowy, o której się miało jak najgorsze wyobrażenie lub żadnego, i z niemałem zdziwieniem poczuć to niesłabe tętno, jakim o miedzę tylko bije życie samodzielne licznego ludu małoruskiego czy rusińskiego. Mam na myśli trupę artystów „rusko-małoruskich“ (ukraińskich), która odwiedziła miasto nasze i zostawiła po sobie jaknajmilsze wspomnienie. Grywali przeważnie utwory Kropiwnickiego, Kotlarewskiego, Szewczenki i innych, śpiewali swoje śliczne narodowe pieśni, występując w strojach ludowych. Wszystkie wystawione sztuki odznaczały się szczerze demokratycznym nastrojem, co jedno właśnie nie bardzo do smaku przypadło naszej (śmiech powiedzieć!) duchem arystokratycznym przejętej publiczności, dość gorliwie swoją drogą uczęszczającej na owe przedstawienia. Ta żyłka, która nas zgubiła, tkwi w nas do dzisiaj i przy każdej sposobności, jak szydło z worka, daje znać o sobie. Koniec ubiegłego karnawału dołożył u nas nowy szczegół w tym względzie do miliona znanych; już od paru lat bywa w Łomży t. zw. bal strażacki, jedyny, na którym stany, zawody i... wyznania jednoczą się jako tako, ale — nie od jednej dobrze wychowanej panny i nie od jednego zachwycającego eleganta słyszeliśmy, że „na takich zabawach nie bywa“ (chociaż widziano go na gorszych). W czasie ostatniego balu była chwila, kiedy publiczność dzielić się zaczęła w dwóch salach na „lepszą i gorszą,“ przeszkodził temu jednak jakiś energiczny rzemieślnik, zjawiwszy się wśród dostojnych z zaproszeniem do tańca, poczem poszli w ślad za nim i inni, a zamiar secesyonistów spełzł na niczem. Ale szydło wylazło! Już to moralne oblicze naszej t. zw. inteligencyi nie może pochwalić się promiennymi rysami zalet duchowych: nie dojrzysz tam ani instynktów społecznych, ani powagi umysłu, ani świadomości w życiu, ani wyrazistych ideałów etycznych; wyjątków zaś jakże mało można naliczyć! Odwrotnych stron za to, niestety, nie brak.

Oto „miły młody człowiek“ (według powszechnej opinii) szczypie kilkomiesięczną dziecinę aż do wywołania siniaków na twarzy za to, że ośmieliła się biedna płakać w jego przedpokoju, podczas gdy matka poszła dla pana po obiad. Ot drugi „pozłacany“ młodzieniec, nie mniej „miły“ od poprzedniego, uwodzi biedną dziewczynę, sierotę, obietnicą ożenienia się z nią, a potem wyrzuca za drzwi wraz z dzieckiem: w gronie młodzieży o ile wykwintnej, o tyle nizko upadłej pod względem etycznym nie nazywa się to podłą zbrodnią, nikczemnym, niecnym czynem, ale... komicznem zdarzeniem, awanturką, o której opowiada się z tajemniczym uśmiechem i odpowiednią mimiką. Oto ksiądz (zamożny!), który, będąc na cmentarzu, przy innym pogrzebie, nie chciał na prośbę biednej matki - wyrobnicy poświęcić trumienki i grobu dziecka, chociaż oddzielały go tylko *dwa kroki* (tak!): „a zapłacisz?“— spytał z niezwykłem oburzeniem. Nie dawniej zaś, jak przed kilkunastu miesiącami, brudne skandale, zręcznie ukrywane, wysadziły z jednej parafii aż trzech księży odrazu: instytucya celibatu święciła tam tysiączny owoc „błogosławionej“ swojej działalności, a jezuicka wykrętna filozofia zdobyła nowy wawrzynowy wianek na miedziane swoje czoło. słowem, wszystko odbyło się, jak należy. Chłopa można wytłomaczyć jego słabym rozwojem umysłowo-moralnym, długoletnią nędzą lub wiekowem uciemiężeniem, ale tych panów „miłych“ — co tłomaczy? Zdziczenie obyczajów nie ustępuje tak łatwo. Młody chłopak, syn gospodarski, wziął na swoją bryczkę, wracając z jarmarku, nieznajomą młodą kobietę, która go prosiła, by ją podwiózł wiorst kilka; w drodze napadł na nią z zamiarem gwałtu, a potem porzucił w śniegu — noc była ciemna i mroźna—w nieznanej jej okolicy, gdzie przeleżała godzin kilkanaście: rozwinęła się gangrena kończyn, a po kilku dniach strasznych męczarni śmierć nastąpiła. Pod Tykocinem ojciec kilkunastoletniego chłopaka tak obijał, że siniaki pokrywały stale prawie całe ciało, w dodatku—chorego już na piersi, prawie nieodzianego przetrzymał godzinę w kupie śniegu, rozgniewawszy się nań za jakąś bagatelę. Cóż więc robią ci patentowani, pełni łask wszelakich — stróże moralności, których jeden wypada przeciętnie na 300 rodzin w tutejszej okolicy? Wszak to jedyny prawie odłam inteligencyi, o której znaczny wpływ na lud i *możność* stosunków nikt sporu nie prowadzi. Niestety, nie ma tu księży, podobnych do naszkicowanego przez Prusa w jego *Placówce.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komisarze cyrkułów, według świeżego rozporządzenia, powinni baczyć, aby chłopcy, niemający 15 lat skończonych, zostali usunięci i nie byli pod żadnym pozorem przyjmowani do wszelkich fabryk. Wogóle praca nieletnich stanowczo jest wzbroniona w następujących fabrykach: 1) w zakładach, gdzie się wyrabiają przedmioty ze szczeciny, włosia końskiego, pierza, trawy morskiej itp.; 2) w warsztatach, w których do czyszczenia metalów używa się rozmaitych kwasów, pozłoceń i srebrzeń galwanicznych; 3) w piekarniach i 4) w rzeźniach.

Wójtowie. Z powodu kilku niewłaściwie dopełnionych wyborów wójtów gmin, naczelnicy powiatów otrzymali rozporządzenie, iż na listach kandydatów mogą być zamieszczani tylko posiadacze nie mniejszej, niż sześciomorgowej przestrzeni gruntu i posiadanie to winno trwać najmniej pół roku od czasu wniesienia na listę. Jednocześnie wydano rozporządzenie, iż naczelnicy powiatowi, zachowując władzę skazywania wójtów na areszt, winni są każdorazowo o wymierzonej karze administracyjnej z wyłuszczeniem winy, zawiadomić właściwy zarząd gubernialny.

St. Pet. Wiedomosti piszą: „Jak wiadomo, w ministeryum skarbu utworzono komisyę z członków trzech ministeryów: spraw wewnętrznych, skarbu i dóbr państwa, która opracowała projekt środków osłonienia ruskiego przemysłu żelaznego od współzawodnictwa cudzoziemców. Nie czekając na zatwierdzenie projektu, rząd przedsięwziął pewne środki nadzwyczajne. Następnie minister skarbu, rozważywszy szczegółowo projekt, wystąpił do Rady państwa z wnioskiem, w którym utrzymuje, iż stosowanie teraz jakichbądź środków, ograniczających fabryki żelaza i stali w Królestwie Polskiem, używające do wyrobu surowca węgla zagranicznego, tudzież samodzielne, wyrabiające żelazo i stal z materyałów krajowych, jest przedwczesne i wskutek tego zaleca odłożenie narad w tej sprawie do czasu, kiedy się uwidocznią rezultaty środków, użytych w ostatnich latach przeciw tym fabrykom. Co do zastosowania istniejących już przepisów o przechodzeniu granicy i pobycie w obrębie państwa robotników cudzoziemskich, minister skarbu radzi przekazać tę sprawę ministeryum spraw wewnętrznych, w którem utworzono już komisyę, mającą zarządzić środki przeciw napływowi cudzoziemców na kresy zachodnie. O majstrach zagranicznych minister skarbu podzielił zdanie komisyi, że w warunkach teraźniejszych i wobec braku w Królestwie Polskiem szkoły górniczej, wszelkie ograniczenia byłyby niewłaściwe. Z wnioskiem p. Wyszniegradzkiego zgodzili się najzupełniej minister dóbr państwa i generał-gubernator warszawski.

Lombard udziałowy w Warszawie otworzony będzie 13 lipca r. b., jednocześnie zostaną zamknięte kasy zaliczkowe przy ul. Mazowieckiej i placu Wareckim. Procent od zastawów mniejszych ustanowiono na $1\frac{3}{4}$ miesięcznie (21% rocznie), od większych nad 100 rs. — na $1\frac{1}{2}$ miesięcznie (18% rocznie). Budżet roczny przedsiębiorstwa wynosi 34,000 rs. Wydatki jednorazowe na urządzenie Towarzystwa 56,000 rs. Akcye już rozebrano.

St. Zaleski, docent uniwersytetu dorpackiego, otrzymał od wielkiego marszałka dworu cesarza Ferdynanda III-go list dziękczynny za ogłoszoną w *Berliner Klinische Wochenschrift* rozprawę p. t.: „Ueber Unzweckmässigkeit der Silbercanülen nach Tracheotomie,“ która sprawiła, iż rurki srebrne przy leczeniu cesarza zastąpiono zrobionemi z glinu (aluminium).

Konkurs. Słowiańskie Towarzystwo dobroczynności w Petersburgu, na uczczenie rocznicy ŚŚ. Cyryla i Metodego, ogłosiło konkurs na temat: „Czy jest możebnem i koniecznem zjednoczenie narodów słowiańskich pod względem piśmiennictwa?“ Termin odroczono ponownie do 13 sierpnia r. b.

Nafta. W Baku odkryto nowe źródło nafty, Ter-Akopowa, które na dobę wyrzuca około 100,000 pudów ropy skalnej.

Tow. muzyczne zawarło z p. prezydentem m. Warszawy kontrakt dzierżawy sali ratuszowej na koncerty.

Wystawa koni włościańskich odbyła się w Lublinie 13 b. m. Ogółem wystawiono 68 sztuk. Pierwszą nagrodę za klacz otrzymał Ignacy Gongol ze wsi Janowiec, drugą Antoni Biały ze Strzesimowa. Za ogiery pierwszą kolonista Unrug, drugą A. Kwiatkowski.

Departament ceł zwrócił uwagę, że na komorach celnych szacują skonfiskowane towary niezmiernie nizko, przez co właściciele towaru i skarb państwa ponoszą straty. Przytem sprzedawane przez licytacyę na komorach towary zagraniczne wypadają o wiele taniej, niż warte, co sprzeciwia się pojęciom prawidłowego handlu. Z tych powodów polecono urzędom celnym szacować towary skonfiskowane stosownie do cen w handlu przyjętych.

Bibliografia. K. F. Becker, *Historya powszechna,* zeszyty 114—129, Warszawa, Oławski.

— Dr. W. Wicherkiewicz, *Geografia popularna,* czyli ziemia w malowniczych obrazach, zesz. 4—9, Warszawa, Oławski.

— M. Dubiecki, *Historya literatury polskiej,* zeszyty 4—6, Warszawa, Orgelbrand.

— J. Łubieński, *Mechanika,* zeszyty 9—10, Warszawa, Zawiszewski.

— J. Korman, Zupełny kurs języka światowego *Volapük,* bez pomocy nauczyciela, z uwzględnieniem uchwał kongresu międzynarodowego w Monachium 1887, Lwów, str. 92, wyd. II.

— Dr. H. Dobrzycki, *Sławuta,* sprawozdanie z działalności lekarskiej za rok 1887. Warszawa, str. 27.

— Moes-Oskargiełło, *Jarstwo i wełniarstwo* w dziejach słowiańszczyzny, Warszawa, str. 63.

— Dr. G. Fritsche, *Sprawozdanie z kolonij letnich* (1887), Warszawa, str. 20.

— Dr. E. Birnbaum, *Grunta piaszczyste i ich uprawa,* przełożył St. Rewieński, Warszawa, *Gazeta rolnicza,* str. 452.

— F. Goeschke, *Ogród wiejski,* popularny przewodnik przy zakładaniu i pielęgnowaniu ogrodów, oraz podręcznik do nauki ogrodnictwa, Warszawa, Gebethner i Wolff. str. 101.

Składy towarów. Najwyżej zatwierdzono uchwałę Rady państwa, wmyśl której będą zakładane w państwie ruskiem składy towarowe, wydające świadectwa, na które instytucye finansowe będą udzielać pożyczki. Składy mogą urządzać ziemstwa, spółki kupieckie, miejskie lub giełdowe, towarzystwa akcyjne lub wreszcie osoby prywatne. Do tego należy uzyskać pozwolenie ministeryum skarbu. Jeżeli jednak skład urządzają ziemstwa lub instytucye miejskie, potrzeba nadto upoważnienia ministeryum spraw wewnętrznych. Składowe będzie opłacane z góry.

Nowa spółka zawiązała się pod nazwą „Towarzystwo rolników, stowarzyszenie zaregestrowane z ograniczoną poręką, z siedzibą w Krakowie."

Teatrzyki ogródkowe rozpoczynają przedstawienia z początkiem czerwca. W „Wodewilu" (dawniej „Nowy Świat") grać będzie p. Teksel, w „Belle-vue" p. Puchniewski, w Dolinie Szwajcarskiej (cyrku letnim) p. Sarnowski, w „Alhambrze" spółka pp. Teksel i Sarnowski.

Gorzelnictwo. Minister skarbu uznał za konieczne energiczne środki przeciw wyzyskiwaniu mniejszych gorzelni przez składników ryczałtowych.

Cudzoziemcy. Ministeryum spraw wewnętrznych nakazało władzom policyjnym, ażeby z upływem każdego roku donosiły mu najszczegółowiej o przybywających i oddalających się cudzoziemcach, o ich zatrudnieniach, nabywaniu majątków nieruchomych itd. Nadto policya winna zawiadamiać konsulów generalnych, gdy się ci znajdują w danych miastach, o śmierci każdego cudzoziemca, który pozostawił mienie ruchome lub nieruchome. Życzą sobie tego państwa zagraniczne, dla łatwiejszego odszukiwania spadkobierców.

Rezerwiści. Z powodu zwołania żołnierzy zapasowych na ćwiczenia letnie, minister spraw wewnętrznych polecił okólnikiem gubernatorom, aby przedsięwzięli wszelkie możliwe środki, zapobiegające w instytucyach rządowych i prywatnych pozbawianiu urzędów i posad oficyalistów, powołanych pod broń, zwłaszcza że czas ćwiczeń nie jest długi.

Wystawa dzieł sztuki. P. Józef Pawłowski, artysta rzeźbiarz, otrzymał pozwolenie na utworzenie w Warszawie nieustającej wystawy dzieł sztuki czystej i stosowanej do przemysłu i rzemiosł.

W Helsingforsie grano z powodzeniem „Halkę." Partyę tytułową po rusku śpiewała p. Tamarowa.

W Olwiopolu (gub. chersońska) uchwalono zlikwidować istniejący od r. 1864 bank miejski.

W Rydze z rozporządzenia synodu wchodzi w program seminaryum prawosławnego język niemiecki, jako przedmiot obowiązkowy.

Kasa zaliczkowo-wkładowa dla urzędników kolei Terespolskiej będzie czynną od 1 czerwca.

Loterya fantowa na rzecz „Przytuliska" odbędzie się 17 czerwca we Frascati.

Felczerzy. Starszy zgromadzenia felczerów p. Górski, na mocy postanowienia rady lekarskiej upoważniony został do wykreślenia z listy tych członków, którzy własnymi patentami felczerskimi dokonywają nadużyć, wynajmując je lub dozwalając otwierać zakłady felczerskie osobom niefachowym.

Olbrzymie bankructwo. Jedna ze znaczniejszych firm komisowych w Ameryce, Wiljam, Kolman et Comp., zawiesiła wypłaty. Pasywa dochodzą do 20 milionów dolarów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Anast. Brz. Chciellśmy.

P. A. K. w Płocku. Dziękujemy za doniesienie. Odkupiliśmy tę część skradzionych książek.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Wydawnictwa „Prawdy."

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**

Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50

„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50

„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . „ 1 „ 50

„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.

Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.

Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne**: czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.

Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.

Cena . . . . rs. 4 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* „ 3 „ —
„ z przesyłką pocztową „ 3 „ 50

Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

11) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

UWAGA. Abonenci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez **cały** r. 1887, otrzymali w grudniu dodatek nadzwyczajny, pierwszą część (25 arkuszy druku) dzieła **Historya wieku XIX**; ci zaś, którzy będą prenumeratorami przez półrocze pierwsze roku obecnego, otrzymają w czerwcu resztę tegoż dzieła (ark. 15).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Мая 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.